



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Feliks Budzisz

Łuny nad Wołyniem

Zapada czerwcowy zmrok. Na pobliskich łąkach i polach, widocznych przez szybę, ściele się powłóczysta mgła. Bliski płaczu stoję na taborecie przy oknie i wypatruję powrotu rodziców, którzy od świtu do zmroku pracują w polu. Samotny komar brzęczy żałośnie, co mnie przyprawia o jeszcze bardziej tęskny nastrój. Jako pięcioletni malec z młodszą o dwa lata siostrą siedzimy całymi dniami w zamkniętym na klucz domu, mając za towarzyszy zabawy małe kocięta. Teraz siostra śpi w kącie z przytulonymi do niej czworonogami, utrudzonymi całodziennymi harcami.

W gęstniejącym zmroku rozlega się wreszcie brzęk wleczonych przez krowy łańcuchów i głos mamy karcącej żarłoczną Kalinę, która korzystając z ostatniej okazji wyszarpuje przydrożną trawę. Wieczorne dojenie krów to prawie obrzęd. Mistrzynią ceremonii jest oczywiście mama. Obok niej stoi kolejka zgłodniałych: ja z siostrą, kotka z maluchami i Mopsik, spuszczone na noc z łańcucha. Po kolacji, składającej się z mleka i chleba, zasypiamy z siostrą kamiennym snem, ale rodzice długo jeszcze krzątają się w obejściu, by następnego dnia znowu wstać o świcie do ciężkiej pracy.

Życie osadników kresowych w tamtych trudnych, kryzysowych czasach było wyjątkowo twarde, wymagało wiele znoju i mozołu, by utrzymać rodzinę, zapłacić podatki czy raty za kupiony grunt i odłożyć trochę grosza na budowę dachu nad głową.

Dziadkowie, Jan i Dominika Sobczykowie, rodzice mamy, przybyli na Wołyń w 1922 roku. We wsi Radowicze, gmina Turzysk koło Kowła, kupili kilkanaście hektarów podmokłego, olszowego lasu, który w ciągu kilku lat zamienili w uprawne pola i użyteczne łąki. Postawili budynki i założyli wiśniowy sad, który stopniowo poszerzali o inne drzewa i krzewy owocowe. Dzięki wytężonej pracy wszystkich członków rodziny wkrótce zapewnili sobie znośne warunki bytowania. Rodzina dziadków była liczna. Dwaj synowie zostali w Kongresówce – Feliks administrował majątkiem hr. Gutowskiego w Krasnem koło Rejowca, a Kazimierz zatrudnił się jako ślusarz w Starachowickich Zakładach Zbrojeniowych. W Radowiczach znaleźli się dziadkowie z pięciorgiem dzieci: Heniem, Jankiem oraz trzema córkami, które niebawem powychodziły za mąż za przybyłych na Wołyń osadników. Najstarsza, Bronisława, wyszła za Stanisława Molendę, średnia Stanisława – moja mama – za Władysława Budzisz, najmłodsza Maria – za Jana Stefanowicza, wnuka powstańca z 1863 roku i syberyjskiego zesłańca.

Ojciec mój urodził się w Czarnolesie – wsi niegdyś Jana Kochanowskiego, mama – dwa lata później w Garwolinie, gdzie dziadek administrował majątkiem. Ojciec, nie widząc zachęcających perspektyw na gospodarstwie w licznej rodzinie, w 1928 roku wyjechał na Wołyń – zachęcony przykładem brata ożenionego z Ukrainką i osiadłego w Turzysku oraz szwagra, Wincentego Gnyśia, który kupił tam młyn wodny na Turii. Zaskarżony do sądu za spiętrzanie wody i zalewanie chłopom gruntów, Gnyś musiał

młyn zlikwidować, ale za solidną rekompensatę kupił duże gospodarstwo rolne w Worczyniu koło Włodzimierza. W Radowiczach ojciec poznał mamę i wkrótce pobrali się. W posagu mama otrzymała trochę gruntu, na którym rodzice zbudowali domek i gospodarcze pomieszczenia, a następnie założyli spory wiśniowy sad. Czasy były trudne, szalał światowy kryzys i bezrobocie. Rodzice tyrali od świtu do nocy, chwytając się każdej pracy, również u zamożniejszych gospodarzy. W tamtym trudnym okresie, 20 listopada 1930 roku, przyszedłem na świat. Dwa lata później urodziła się siostra Danusia.

W drugiej połowie lat trzydziestych warunki materialne osadników znacznie się poprawiły, jak zresztą w całym kraju. Najszybciej dorabiali się Molendowie, bo mieli urodzajny grunt, a ciocia Bronia obszywała całą kolonię, czerpiąc z tego znaczny dochód. Nasze warunki również uległy znacznej poprawie. Ojciec otrzymał posiadłość gajowego w lasach hr. Stanisława Starczewskiego, a po roku został ich administratorem, co przynosiło nam znaczne korzyści: darmowy wypas krów w lesie i na łąkach, opał bezpłatny i niezłe pobory. Wkrótce mogliśmy dokupić trochę lepszych gruntów.

W 1936 roku zamieszkaliśmy w specjalnie zbudowanej gajówce tuż obok wysokiego, wiekowego, rozłożystego dębu, na wzniesieniu, skąd rozpościerały się rozległe, piękne widoki. Z trzech stron ciągnęły się łąki, a za nimi sosnowe bory. Każdy z nich miał swoją nazwę u miejscowej ludności: Pergoniszczce, bo przepędzano przez nie stada na pastwiska, Świtka, gdyż w wyniku wycinania las miejscami miał znaczne prześwity i Duży Las, liczący do tysiąca hektarów. Lasy zawierały różny drzewostan. Dominowały dorodne, samosiejne sosny. Z czwartej, wschodniej strony, był otwarty teren na wieś Radowicze. Na pierwszym planie widoczne były zabudowania Polskiej Kolonii, a za nią kopuły cerkwi w centrum wsi. Obok nich stał młyn, napędzany gazem drzewnym, dudniący dniem i nocą na całą okolice. Stanowił własność Antoniego Romankiewicza, Adama Bartoszewskiego i Iwana Laszki.

Radowicze były dużą, rozległą wsią, ciągnącą się 6 kilometrów wzdłuż traktu Turzysk-Kupiczów. Składały się z centralnej ulicówki i peryferyjnych kolonii: Abramowca, Kolonii Czeskiej, Żukowa, Kolonii Polskiej, Koczek, gdzie mieszkaliśmy z dziadkami oraz Puhów. Abramowiec i Kolonię Polską zamieszkiwali Polacy, pozostałe skupiska były polsko-ukraińskie. Natomiast w Kolonii Czeskiej mieszkało kilkanaście rodzin czeskich, których przodkowie przybyli tutaj w latach 70-tych XIX wieku. Ze względu na licznie zamieszkałą ludność polską, już w XIX w. we wsi była czynna jedna z trzech kaplic katolickich parafii Turzysk, pozostałe – w Dolsku i Różynie. W 1943 roku w Radowiczach mieszkało ponad 90 polskich rodzin, co stanowiło połowę mieszkańców.

Nowe miejsce naszego zamieszkania było okropnym odludziem, ale szybko do niego przywykliśmy, a urokliwe krajobrazy otaczające gajówkę sprawiły, że niebawem bardzo je polubiliśmy. Środkiem łąk, nieopodal gajówki, płynął strumień, wpadający kilka kilometrów dalej do Turii. Był miejscem letnich uciech pastuchów, którzy spiętrzali tamą wodę i kąpali się całymi dniami, a po spuszczeniu jej łowili sakami dorodne okonie, miętusy, a czasami zdarzał się i szczupak. W czasie wiosennych roztopów i po dłuższych deszczach strumień zamieniał się w rzekę nie do przebycia bez łódki czy tratwy. Zdarzyło się, iż po lipcowej ulewie wody tak wezbrały, że odcięły od gajówki nasze krowy pasące się na łąkach. Trzeba było długo wędrować ze stadem w górę „rzeki”, by znaleźć miejsce do przeprawy.

Wykorzystując sprzyjające warunki hodowaliśmy sporo drobiu: nośne zielononózki i leghorny oraz indyki. Te ostatnie, miesiąc po wykluciu się, całym stadem wędrowały tyralierą przez trawiastą łąkę, wychytując wszystko, co się ruszało i nadawało do zjedzenia. Trzeba było tylko chronić je przed lisami. Krowy wypasane na bujnych łąkach i leśnych polanach dawały sporo mleka, które przepuszczaliśmy przez wirówkę, a następnie na tej samej maszynie, po wymianie kilku elementów, robiliśmy masło. Co najmniej raz w tygodniu odstawialiśmy nabiał do Żyda Brunsteina w Turzysku. Odciągane mleko przeznaczaliśmy dla celów gospodarczych, głównie hodowli trzody chlewnej i wyrobu twarogu, którym szczególnie zajadały się indyki.

Cały ciężar prowadzenia gospodarstwa spadał na mamę, która wkrótce od nadmiaru pracy zaczęła podupadać na zdrowiu. Moja i siostry pomoc była mizerna, mimo niewspółmiernie dużego wysiłku przy obrządzaniu inwentarza. Doraźnie pomagały mamie sąsiadki i chłopiec zatrudniony do pasienia krów. Ostatnim był Jakub, szesnastoletni Ukrainiec, odpowiedzialny i chętny do roboty. Ojciec od świtu do nocy był zajęty w lesie przecinką i wycinką drzew, wywózką oraz sprzedażą drewna opałowego i budulcowego, odnawianiem zasobów leśnych i głównie pilnowaniem lasu przed rozkradaniem. Prawie przez okrągły rok pracowali w lesie okoliczni mieszkańcy, otrzymując wynagrodzenie w drewnie, rzadziej w gotówce. Chętnych do pracy nie brakowało, zwłaszcza zimą, kiedy wywożono z lasu budulec do stacji kolejowej w Turzysku. Chłopi, Polacy i Ukraińcy, zabiegali na wszelkie sposoby, by ich zatrudnić, nawet za marne wynagrodzenie. Wielu rodzinom doskwierała bieda, brakowało chleba, zwłaszcza na przednówku. Biedni zapożyczali się u bogatych i odrabiali dług w dwójnasób w czasie prac polowych, młocki czy przy doglądaniu gospodarstwa.

My w drugiej połowie lat trzydziestych nie mieliśmy powodu narzekać. Za zgromadzone w ciągu dwóch lat oszczędności dokupiliśmy trzy hektary urodzajnej ziemi, sprawiliśmy sobie radioodbiornik, zainstalowaliśmy piorunochron na wysokim sosnowym maszcie, kupiliśmy wiele rzeczy, o których dotychczas mogliśmy tylko marzyć. Wkrótce we wsi, jak grzyby po deszczu, zaczęły wyrastać maszty

odgromników. Do ich instalowania zmuszały przede wszystkim częste pożary, wywoływane piorunami, ale i przykład też działał zachęcająco.

Dnia 1 września 1938 roku rozpocząłem naukę w miejscowej szkole drugiego stopnia. Szkoła w Radowiczach miała dwie izby i nauka odbywała się na zmiany w zatłoczonych, łączonych klasach. Wiele dzieci, w tym i ja, musiało w obie strony przemierzać co dzień po dziesięć i więcej kilometrów, nieraz w słotę, ulewny deszcz, zawieje i tęgi mróz. Gdy głęboki śnieg pokrył okolicę, pokonanie tej drogi dla wielu młodszych uczniów okazywało się niemożliwe. Siedziałem wtedy w domu zasypanym śniegiem. Uczyłem się sam, czytając „Kurier Warszawski”, który przychodził do gajówki z kilkudniowym opóźnieniem.

Dużym przeżyciem były dla mnie uroczystości kościelne w Turzysku. Najbardziej utkwiło mi w pamięci Boże Ciało w 1939 roku, połączone z przekazaniem wojsku karabinów maszynowych, zakupionych ze składek społeczeństwa. Mistrzem ceremonii był wójt, Ukrainiec, który pod palącym słońcem, w butach z długimi cholewami, biegał po boisku strasznie zaaferowany, wycierając co chwilę pot z twarzy i karku. Witął gości w czarnych garniturach czytając z kartki. Ktoś z oficjeli wygłosił patriotyczne przemówienie, dziękując gminie za ofiarność. Ksiądz pokropił karabiny maszynowe i wszyscy ruszyli procesją na trasę czterech ołtarzy. Przy każdym z nich kompania kowelskiego 50. pp im. Francesco Nullo oddała karabinową salwę, wywołując u zebranych dreszcz patriotycznego uniesienia. Była to najpiękniejsza i ostatnia uroczystość w polskim Turzysku. W niespełna trzy miesiące kraj ogarnęła wojenna pożoga i bezsilna rozpacz, a niebawem do miasteczka, jak na całe Kresy, przyszła nowa „władza” – czerwona okupacja.

Inną atrakcją, ale tylko w maju, były urokliwe majówki – nabożeństwa przy przydrożnym krzyżu, czyli figurze świętej, jak to się wówczas mówiło. Odbywały się one przez cały miesiąc, co dzień późnym popołudniem, a kończyły o zmroku. Prowadził je z niemałą rutyną szanowany we wsi rolnik, Antoni Molenda, były alumn, któremu swego czasu zawróciła głowę późniejsza żona. I tak już zostało, chociaż rodzina, zwłaszcza rodzice, długo nie mogli pogodzić się z „dezercją” syna.

Na majówkę przychodziło wiele wystrojonych, urodziwych dziewcząt, wzbudzających zachwyt równie wyelegantowanych kawalerów. Mnie, ósmiolatkowi, najbardziej podobała się już pełnoletnia Adela Rakowska, blondyna o dużych niebieskich oczach i długich, grubych warkoczach, no i oczywiście moja sąsiadka, szkolna koleżanka Irenka, stryjeczna siostra Adeli.

W 1939 roku, w miejsce spróchniałego krzyża, Wincenty Szewczyk, miejscowy murarz, postawił żelbetonową figurę z wnęką na wizerunek Matki Boskiej i flakony z kwiatami. Jako niemy świadek okupacyjnej apokalipsy stoi ona do dzisiaj w otoczeniu wysokich i grubych akacji.

24 czerwca odbyło się uroczyste zakończenie roku szkolnego. W dwóch salach zebrali się uczniowie sześciu klas, Polacy i Ukraińcy. Ścisk był okropny. Do klas kolejno przychodzili nauczyciele, by się pożegnać z uczniami: kierownik szkoły Jan Anioł, pani Maria Tokarska, ładna brunetka i Jan Kranz – młody, przystojny i bardzo lubiany przez uczniów i rodziców. Kranz pochodził z Poznańskiego i – jak większość początkujących wówczas nauczycieli – został skierowany do pracy na Kresach. Na uroczystość przyszedł w eleganckim oficerskim mundurze. Wyszywaną srebrem rogatywkę z dwiema gwiazdkami położył na stole. Czapka i mundur zauroczyły mnie – patrzyłem na nie, nie mogąc oderwać wzroku. Po krótkim przemówieniu kierownika szkoły rozdano nam świadectwa. Następnie kilku starszych uczniów deklamowało patriotyczne wiersze o prezydencie Ignacym Mościckim i marszałku Rydzu-Śmigłym, których portrety wisiały na przedniej ścianie. Siedziałem obok Waldka Bartoszewskiego, wesołka i pupila nauczycieli, syna Adolfa Bartoszewskiego, opiekuna miejscowego koła Związku Strzeleckiego. Waldek dowcipkował, chichotał, a mi było markotno.

Pomagając rodzicom w gospodarstwie, myślałem wracałem do wydarzeń minionego roku szkolnego, które wydawały mi się coraz miłsze i coraz bardziej atrakcyjne w zestawieniu z szarą, znojną codziennością. Ponure były tamte wakacje. Ludzie z niepokojem wczytywali się w gazety, z drżeniem słuchali niepomyślnych radiowych wiadomości, przekazywanych następnie z ust do ust. Znajomy Ukrainiec, który często przychodził do nas, by posłuchać radia, powiedział:

– Źle się dzieje, będzie wojna. Są tacy, co się cieszą, ale jeszcze i będą żałować.

Sąsiadka Wasikowa, matka kilkorga dzieci, rozpowiadała po wsi, że widziała na niebie duży ognisty krzyż, co miało wróżyć wielki rozlew krwi, a więc wojnę. Tymczasem żniwa szły pełną parą. Wiedzeni trwożnymi przecuciami ludzie pracowali spieszniej niż zwykle. W połowie sierpnia i u nas zbiory zbóż były ukończone. Znajomy Ukrainiec dużą młockarnią, napędzaną silnikiem spalinowym, w ciągu dnia wymłócił nam zboże. Ziarno bez zwłoki zostało odstawione furmankami do Brunsteina w Turzysku.

23 sierpnia ojciec otrzymał kartę mobilizacyjną. Dostali je również wujkowie Molenda i Stefanowicz oraz wielu innych mieszkańców Radowicz. Następnego dnia o świcie ojciec pożegnał się tylko z mamą, by nas z siostrą nie budzić i udał się pieszo do macierzystego 50. pułku piechoty w Kowlu. Teraz cały czas słuchaliśmy z mamą radia, przyjmując większość wiadomości jako niepomyślne. W ostatnich dniach sierpnia przyszedł list od ojca, z którego wynikało, że pułk jest w drodze na zachód. Odpisaliśmy wspólnie z mamą, życząc mu zdrowia i szybkiego powrotu. Listu tego ojciec nie otrzymał. Wiele lat

później dowiedziałem się, że 27. Kowelska (wołyńska) Dywizja Piechoty, dowodzona przez gen. bryg. Juliusza Drapellę, w skład której wchodził między innymi 50. pułk piechoty, w ostatnich dniach sierpnia wylądowała się na stacji OcyPel i w tamtym rejonie zastała ją wojna. W toku przebijania się na południe poniosła 2 września ciężkie straty w starciu z korpusem pancernym Guderiana pod Świekatowem i Trutnowem, gdzie 56 pp został rozbity. Rozbitkowie, wśród których był i mój ojciec, przedarli się pod Świecie, skąd niektórym udało się przepłynąć Wisłę, a następnie forsownym marszem dotrzeć pod Toruń i dołączyć do głównych sił 27 Dywizji. Ojciec z resztkami swego pułku brał udział w ciężkich walkach pod Brześciem Kujawskim i nad Bzurą, gdzie po przegranej bitwie dostał się do niewoli.

1 września, w piątek, obudziłem się wcześniej niż zwykle. Zaniepokoiła mnie nieobecność mamy. Obiegnęłem obejście, ale nikogo nie spotkałem. Zbierało mi się na płacz, gdy spostrzegłem mamę idącą od dziadków. Wybiegłem naprzeciw.

– Wojna! – powiedziała mama płacząc. – Są już na pewno ranni i zabici. Może nasz tatuś jest ciężko ranny, albo nie żyje.

Wiadomość ścięła mnie z nóg. Poczulem słabość i jakiś ogromny, przygniatający ciężar. Wokół wszystko poszarzało, chociaż ranek był słoneczny, a niebo błękitne. Mama szybko włączyła radio, ale kryształowy detektor odmówił posłuszeństwa, a po dłuższej przy nim manipulacji w słuchawkach dały się słyszeć jakieś niezrozumiałe słowa, komunikaty i ostrzeżenia. Jakub, szesnastoletni Ukrainiec, który pasł nasze krowy, przyszedł tego dnia znacznie później niż zwykle. Ani trochę nie przejął się wojną. Nucąc pod nosem, ochoczo, jak nigdy dotychczas, wypędził krowy na pastwisko. Wróciwszy na obiad, z nieukrywaną satysfakcją powiedział do mamy:

– Chłopi mówią, że Niemcy wygrają wojnę. To potężny kraj, gdzie tam Polsce równać się z Niemcami.

Mama z oburzeniem odparła:

– My wygramy wojnę! Nam pomoże cały świat!

Jakub zwiesił głowę i zamilkł. Tym razem nie uprzedziwszy nas, poszedł na noc do swojej matki. Tego wieczoru siedzieliśmy po ciemku, bojąc się zapalić lampę. Baliśmy się nawet wyjrzeć przez okno. Na dworze i w domu panowała ciemność, z której wyzierał paraliżujący strach. Wokół zalegała złowroga cisza. Psy, zamknięte w sieni, milczały. Zerwał się porywisty wiatr, który przywiał swąd płonących torfowisk, podpalonych przez ukraińskich pastuchów. Mama sądziła, że to gaz, co spotęgowało nasz lęk.

Już w pierwszych dniach września zjawiał się u dziadków wujek Kazik. Swoim motorem przywiózł jeszcze dwóch kolegów zatrudnionych w Starachowickich Zakładach Zbrojeniowych. Ledwo dotarli do Radowicz, pchając kilka kilometrów motor z braku benzyny. Była to niezła maszyna, na której wujek zdobył wiele nagród i wyróżnień w wyścigach motocyklowych w kraju i za granicą. Zabrali ją Sowieci zaraz po wkroczeniu na Kresy.

Uciekinierzy zza Bugu wędrowali na wschód. Zatrzymywali się na nocleg lub dłuższy pobyt u polskich rodzin, które rzadko brały zapłatę, a wspomagały rodaków w nieszczęściu z ludzkiego, patriotycznego obowiązku. U nas zatrzymał się aptekarz z Warszawy z siostrą żony, która zginęła podczas bombardowania stolicy. Był to starszy pan znający biegle język rosyjski i popisujący się nim przed Ukraińcami, którzy pod byle pretekstem odwiedzali nas, chcąc jak najwięcej dowiedzieć się o przebiegu wojny. Wkrótce zjawiono się jeszcze trzech bankowych urzędników z Warszawy. Toczyli jałowe spory, czy nie powinni byli pójść jako ochotnicy na front, zamiast dekować się w zabitej deskami leśniczówce i uwodzić czarującą szwagierkę aptekarza pod jego nieobecność.

Któregoś dnia, w połowie września, zobaczyliśmy idącego z lasu do naszych zabudowań żołnierza polskiego. Wyszliśmy mu licznie naprzeciw, sądząc, że może to ktoś ze znajomych, może ojciec... Był w hełmie, dźwigał długi karabin z bagnetem, sterczącym nad głową i kilka ładownic przy pasie. Szedł powoli, rozglądając się bacznie. Kilkanaście metrów przed nami zatrzymał się niezdecydowanie. Widząc przychylnie gesty z naszej strony, podszedł bliżej i zaczął zaraz z dużym podnieceniem opowiadać chaotycznie o swojej jednostce rozbitej pod Włodzimierzem. W końcu rozplakał się i zamilkł, wycierając rękawem łzy i rozsmazując po twarzy kurz i brud. Wyglądał żałośnie. Na widok lecących daleko niemieckich bombowców, pobiegł wystraszony pod rozłożysty dąb, krzycząc na nas byśmy uczynili to samo. Posiliwszy się, ruszył do swojej rodziny, mieszkającej gdzieś pod Dubnem. Staliśmy w milczeniu, odprowadzając go zasepionym wzrokiem. Samotny, bezradny, płaczący żołnierz zrobił na nas przygnębiające wrażenie. Był żywym symbolem totalnej klęski, naszej polskiej klęski.

W połowie września zatrzymała się koło nas na odpoczynek grupa policyjnych rodzin. Część jechała furmankami i na rowerach a wielu mężczyzn szło przy wozach, na których z braku benzyny wieziono motocykle. Przedzierał się polnymi drogami na południe – do Rumunii Mówili, że w pobliskich lasach zostali ostrzelani przez jakichś cywilów, najprawdopodobniej Ukraińców. Uzbrojeni policjanci przepędzili napastników. Obyło się bez strat w ludziach. Ranili tylko konia którego trzeba było dobić.

Napady z bronią na uciekinierów czy nawet żołnierzy nie należały do rzadkości. Dokonywały ich w celach rabunkowych watahy miejscowych nacjonalistów i zwykłych rabusiów. Wielu z nich przez

następne lata chodziło w ubraniach przerabianych z polskich mundurów czy uszytych z wojskowych koców. Kilka lat później wielu upowców nosiło polskie mundury, również oficerskie. Mówiono, że w leśnych ostępach znajdowano ciała pomordowanych mężczyzn i kobiet z oznakami tortur.

17 września 1939 roku, o świcie, Armia Czerwona niespodziewanie wkroczyła na Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej. Rozpoczęła się czerwona okupacja. 19 albo 20 września na trakcie wiodącym z Łucka do Turzyska, obok zabudowań Teodora Brzezickiego, zatrzymała się tankietka z czerwoną gwiazdą. Wsiadł z niej lejtnant w czarnym kombinezonie i z pistoletem w ręce, gotowym do strzału. Podszedł do Stasi Jeleńskiej, starej kobieciny, cierpiącej na dotkliwą krótkowzroczność. Ta, gdy mu się przyjrzała z bliska, zemdląła z przerażenia. Ledwo ją domownicy docucili.

Niebawem nadjechały dwa samochody z wojskiem, jakimś obcym różniącym się wyglądem od naszych żołnierzy. Rosły politruk podszedł do grupy ciekawskich, składającej się głównie z miejscowej biedoty zamieszkującej również polską kolonię. Ludzie otoczyli go szczelnym kołem i zaczęli zasypywać pytaniami: co to za wojsko, skąd przybyło w jakim celu, jaka będzie teraz władza, czy skończy się już wojna i tym podobne. Politruk oznajmił, że Czerwona Armia przybyła wyzwolić ludność Ukrainy i Białorusi spod ucisku panów, dziedziców i kapitalistów że teraz już wszyscy będą równi i nikt nikogo nie będzie wyzyskiwał. Bogaci muszą podzielić się swoim majątkiem z biednymi, bo zdobyli go ich kosztem. Ktoś ze starszych mieszkańców tłumaczył na język polski wywody politruka. Ku mojemu przerażeniu spodobały się one naszym sąsiadom, żyjącym w skrajnej nędzy. Najbardziej przypadło do serca niektórym, że biedne rodziny wielodzietne będą pod szczególną ochroną sowieckiego państwa i otrzymają zasiłki wg zasady: im więcej dzieci, tym więcej pieniędzy.

Wejście Sowietów i ustanowienie nowej władzy było szokiem dla ludności polskiej, zwłaszcza zamożniejszej. Natomiast zdecydowana większość Ukraińców i Żydów przyjęła wkroczenie Armii Czerwonej z zadowoleniem, niejednokrotnie z entuzjazmem. W centrum Radowicz, jak i w wielu sąsiednich wsiach, Ukraińcy zbudowali naprędce powitalną bramę tryumfalną, udekorowali ją barwnymi oraz tryzubem, który jednak szybko został usunięty. Samorzutnie powstawała czerwona milicja, tworzona we wsiach przez Ukraińców, a w miastach przeważnie przez biednych Żydów. Funkcjonariusze z czerwonymi opaskami na rękawach i kokardami przy czapkach, z polskimi karabinami, często zdobytymi w dość tajemniczych okolicznościach, buńczucznie paradowali po okolicy.

Do milicji wstąpił i nasz Jakub. Przyszedł do nas, by pochwalić się karabinem. Zażądał wydania broni i kozucha jako zapłaty za pasienie krów i pomoc w gospodarstwie. Rozczarował się bardzo, gdy mama pokazała mu poświadczenie o zdaniu broni i stwierdziła kategorycznie, że kozuch jest własnością ojca. Następnego dnia mama oddała wartościowsze rzeczy na przechowanie do dziadków. Żądania od Polaków wydania broni, a następnie rewizje były na porządku dziennym. Dawały one okazję do rekwirowania, czyli po prostu kradzieży wartościowych przedmiotów. Ale już w listopadzie wielu milicjantów, w tym i naszego Jakuba, skierowano w głąb Związku Radzieckiego do innych zajęć. Po jakimś czasie nasz sąsiad, Ukrainiec, otrzymał od Jakuba list z Doniecka. Pisał, że pracuje w kopalni i prosił, by sąsiedzi zaopiekowali się jego chorą matką. Mama zaopatrywała ją w żywność, leki i odzież.

W połowie października nowe władze ogłosiły, że wszyscy, którzy chcieliby wrócić za Bug, powinni zgłosić się w odpowiednim czasie na stacje kolejowe. Udał się więc i wujek Kazik ze swoimi kolegami na stację kolejową w Turzysku. Po miesiącu, zamiast w Starachowicach, wszyscy trzej znaleźli się w... Workucie.

Jesienią 1939 roku wracali z wojny żołnierze. Przedostawali się przez granicę na Bugu, leśne ostępy i bagna, by nie wpaść w ręce sowieckich wojsk czy milicji, albo – co najgorsze – ukraińskich nacjonalistów. 22 października wrócił ojciec. Uciekł z niemieckiego obozu jenieckiego pod Żyrardowem, do którego dostał się po bitwie nad Bzurą. Użył najprostszego sposobu: podszedł do niemieckiego wartownika, dał mu zegarek, a następnie ruszył w pole, nie oglądając się. Szedł z duszą na ramieniu, a Niemiec zwyczajnie milczał. Udało się. W Turzysku kilka dni przesiedział u Brunsteina, zaprzyjaźnionego Żyda, zanim zdecydował się przyjść do domu, gdzie również przez kilka dni nie pokazywał się na oczy osobom postronnym. Jednak ktoś z Ukraińców wypatrzył ojca i doniósł sielsowietowi (rada wsi). Wybrał się do nas stary Ukrainiec Dykyj, życzliwy ojcu za zatrudnianie go w pracach leśnych. Usiadł ciężko przy stole, zza pazuchy wyjął mały pistolet i położywszy go na stole rzekł do mamy:

– Wiem, że Władek wrócił. Nic mu nie grozi, daję słowo. – Tu od sunął pistolet. – Zawołajcie go, niech zaraz przyjdzie.

Mama wezwała ojca, który siedział obok w pokoju. Wszedł do kuchni niepewnie, uśmiechając się powściągliwie, ale gdy spostrzegł rewolwer, spoważniał i przystanął, patrząc nieufnie na gościa.

– Siadaj, nie bój się! – rzekł z poufałością Dykyj. – Opowiadaj, coś widział.

Dykyj schował pistolet, dodając, że należał on do jakiegoś wyższego oficera. Wywiązała się rozmowa, której z największą uwagą przysłuchiwałem się z kąta. Dykyj butnie oświadczył, że Polski nie ma i już nie będzie. Wszystkie małe państwa zostaną zlikwidowane. W Europie będzie tylko Związek Radziecki, no i może Niemcy.

– A ty – zwrócił się do ojca – ludzi nie krzywdziłeś i nie musisz się bać. Jutro zgłoś się w sielsowiecie, a tam ci powiedzą, co robić dalej.

Dykyj rozwiął trochę nasze obawy i wątpliwości. Ale wizyta w sielsowiecie nie przyniosła odpowiedzi na pytania choćby o najbliższą przyszłość. Pozostaliśmy w nieprzyjemnej nam próżni, jak wszyscy Polacy.

Na stróża radowickich lasów został wyznaczony Dykyj, który wcale nie przejmował się swoją funkcją, bo się na niczym nie znał. Okoliczni gospodarze cięli las dniem i nocą, wywożąc budulec i opał. Zaniepokojone tym stanem władze przysłały leśniczego z Rosji, któremu niebawem, przy pomocy milicji, udało się zahamować masową kradzież drewna.

Władze sowieckie na siłę starały się przekonać ludzi o „wyższości” swojego ustroju nad kapitalizmem i zapoznać z jego podstawowym aktem prawnym – konstytucją stalinowską. Organizowały w tym celu obowiązkowe szkolenia. W Polskiej Kolonii prowadził je Michał Budzisz, znany w okolicy humorysta, nasz daleki krewny. Jego dowcipy, miny, gesty wywoływały salwy śmiechu. Wesolo było na szkoleniach i nawet ludzie chętnie na nie przychodzili. Pewnego razu prelegent przyszedł ucharakteryzowany na Stalina, z dużą fają. Odegrał skecz, jak to wielki wódz chce zbawić wszystkich ludzi pracy na świecie. Ludzie boki zrywali i długo wspominali to wystąpienie. Lustracja szkolenia, przeprowadzona przez miejscowego popowicza i pozał się Boże innych ukraińskich ekspertów, wykazała podobno wysoki poziom wiedzy i obywatelskiego uświadczenia słuchaczy.

Ale nie wszystko było do śmiechu. Zima 1939/40 była wyjątkowo śnieżna i surowa. Mrozy przekraczały 30 stopni. W lutym spadła na ludność, głównie polską, kolejna straszliwa klęska – wywózki na Sybir. Deportacje przeprowadzano najczęściej w nocy. Do mieszkania wdzierali się enkawudziści z miejscowymi ukraińskimi aktywistami. Dawano 15-30 minut na spakowanie i wieziono na najbliższą stację kolejową, a następnie bydłecy wagonami w głąb Związku Radzieckiego.

Ojciec dowiedział się, że na liście deportacyjnej umieszczono i nas, jako rodzinę leśniczego. Wiadomość ta była wprost paraliżująca. Szybko jednak rozpoczęliśmy gorączkowe przygotowania do wywózki. Rodzice wpadli na pomysł, że jeżeli pojedą to sami, a mnie i siostrę zostawią u krewnych. Na dwa dni przed przypuszczalnym terminem deportacji, nocą w siarczysty mróz, dotarliśmy do ciotki Stefanowiczowej. Przesiedzieliśmy tam kilka dni, nie wychylając nosa. Na szczęście wywózka ominęła rodziców – podobno dzięki sielsowietowi, który miał wytłumaczyć enkawudzistom, że ojciec będzie potrzebny do pokierowania pracami leśnymi.

Z Rodowicz – 10 lutego 1940 roku – zostały wywiezione trzy rodziny: dwie Kolasów z Abramowca i Lasaków ze wsi. Jeden z Kolasów był rządcą w majątku Lityń hr. Stefana Sarnowskiego. Rodzina jego składała się z 5 osób, w tym z trojga dzieci, dwóch synów i córki. Nocą, w tęgi mróz, obie rodziny zostały załadowane na podwozy, dostarczone przez Ukraińców i wywiezione do Kowla, a stamtąd w bydłecy wagonach na Syberię. W taki sam sposób wywieziono żonę (Ukraińkę) i dwie córki policjanta Lasaka. On sam uciekł na Zamojszczyznę.

Następne wywózki w kwietniu i czerwcu 1940 roku oraz w czerwcu 1941 roku ominęły Radowicze. Planowane były następne na lipiec. W Kowlu i innych miastach stały już całe składy pociągów, gotowe do dalekich podróży. Ludność polska z trwogą oczekiwała na nieuchronną deportację, przygotowując na drogę żywność, głównie suchary i wędzoną słoninę. Gdyby nie wojna niemiecko-sowiecka, pewnie cała ludność polska z Kresów Wschodnich znalazłaby się w głębi imperium.

Latem 1940 roku NKWD rozpoczęło masowe aresztowania. Ofiarami padli przede wszystkim oficerowie, urzędnicy, policjanci, bogaci gospodarze, no i oczywiście ziemianie, którzy do tej pory zdołali się uchować. W Radowiczach zostali aresztowani: por. Adolf Bartoszewski, organizator podziemnej grupy Związku Walki Zbrojnej oraz jego dwaj bracia. Z Worczyna koło Włodzimierza zatrzymano naszych krewnych: wujka Wincentego Gnysia, stryja sławnego lotnika Władysława Gnysia oraz jego syna Stanisława i zięcia Ziemiłckiego. Przez kilka tygodni więziono ich w Łucku.

W marcu 1940 roku znaleźliśmy się w dramatycznym położeniu: nowy leśniczy zażądał opuszczenia przez nas leśniczówki. Wyprowadziliśmy się do dziadków. Mimo ich dużej życzliwości warunki mieszkalne były wyjątkowo uciążliwe. Na ironię losu leśniczego wkrótce przepędzono. Zastąpił go inżynier Pap, który zatrudnił ojca jako brakarza w Lespromchozie, czyli leśnym gospodarstwie przemysłowym. Za harówkę otrzymywał ojciec jakieś ruble, co pewien czas trochę landryn i pierników oraz raz na rok waciaki i walonki. Po roku pracy dostał asygnatę na budulec. Nie otrzymaliśmy jednak zezwolenia na pobudowanie się na własnym terenie, gdyż władze były zdania, że budynki należy stawiać w rejonie kołchozu. Aby zgromadzić legalnie drewno ojciec podpisał odpowiednie zobowiązanie, przewidując trafnie, że ta okupacja długo nie potrwa. Pamiętam, jak wczesną wiosną 1941 roku powiedział do mamy, że tylko patrzeć jak wybuchnie wojna z Niemcami. I wcale się nie pomylił. Dla pełniejszego obrazu tamtej okupacji dorzucę jeszcze trochę zdań o nauce szkolnej. Już w listopadzie 1939 roku Sowietci uruchomili we wsi szkołę. Do nauczania zwerbowali miejscowych Ukraińców i polską nauczycielkę Tokarską. Jednak ze względu na surową zimę i pogłoski o mających nastąpić wywózkach na Sybir, rodzice moi postanowili, że będą się uczyć w domu. Czytać i pisać po ukraińsku

uczył mnie Henio, który miał ten język przez kilka lat w polskiej szkole podstawowej. W roku 1940-41 uczęszczałem do drugiej klasy w filii szkoły ukraińskiej, zorganizowanej w Kolonii Polskiej. W klasie było kilkoro dzieci ukraińskich, którym za daleko było do szkoły we wsi. Niebawem na hospitację przyszedł dyrektor Wasyl Zacharczuk, pomagier miejscowego popa. Gdy opuścił klasę, dzieci spontanicznie i dość głośno wyraziły swoją ulgę. Dyrektor stał za drzwiami i wszystko słyszał. Za karę panią Tokarską wymieniono na Ukraińca Iwana Rybczyńskiego, syna popa. Nowy nauczyciel był wyjątkowo przystojny, pogodny, a życzliwym sposobem bycia zjednał sobie dzieci i rodziców, zwłaszcza gdy zaczął śpiewać z nami również polskie piosenki. Na godziny wychowawcze i lekcje języka rosyjskiego przychodziła Rosjanka Olga Iwanowna Subbota, przysłana ze Związku Radzieckiego. Na jednej z lekcji był temat istnienia Boga. Olga Iwanowna pytała kolejno uczniów, co jest w górze, nad nami, wskazując palcem na sufit. Dzieci odpowiadały różnie – że pułap, dach, komin. Moja kuzynka, Bogumiła Molenda odpowiedziała, że Pan Bóg. Olga Iwanowna parsknęła śmiechem, a następnie wpadła w złość. Kolej przyszła na mnie, a ponieważ dzień był pochmurny i siąpił deszcz, powiedziałem, że nad nami są chmury. Odpowiedź bardzo się jej spodobała, ale kuzynka spojrzała na mnie jadownicę, a po lekcjach rozbębniła w kolonii, że wyparłem się Boga. Ojciec donos zbył milczeniem, mama grymasem, ale przed dziadkami musiałem się tłumaczyć, również z tego, że nie wsparłem kuzynki. Do szkoły chodziłem chętnie, jak większość dzieci. Nauczyciele traktowali nas łagodnie i życzliwie. Na koniec roku ja i Ukrainka Hala Kruk – skromna, uczynna i pilna, otrzymaliśmy same piątki oraz pochwalne listy, tzw. „Pochwalnyje hramoty” z wizerunkami Lenina i Stalina. Wbrew moim oczekiwaniom świadectwo i kolorowa laurka nie wzbudziły u rodziców zachwytu. Dziadkowie odnieśli się do moich szkolnych sukcesów z całkowitym lekceważeniem, a Henio dorysował wodzom wąsy i brodę. To z kolei przeraziło mamę, która tak ukryła świadectwo, że już go nie widziałem. Zaraz kupiłem sobie nowe podręczniki do następnej klasy. Kolorowe ilustracje bardzo mnie zainteresowały, zwłaszcza tajga i tundra. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że te kolorowe obrazki symbolizowały gehennę setek tysięcy zesłańców – naszych rodaków.

Tuż przed wybuchem wojny ojciec kupił mi we Lwowie czytanki w języku polskim, ale nowe podręczniki już się do niczego nie przydały – poszły na podpałkę. 22 czerwca 1941 roku, w niedzielę o świcie, nad Kresami Wschodnimi rozległ się jęk niemieckich eskadr i potężne detonacje bomb. Wczesnym rankiem obudzili nas głośne wybuchy i jęk lecących na wschód samolotów. Dziadkowie i rodzice nie mieli wątpliwości, że kończy się sowiecka okupacja, a wraz z nią koszarne wyczekiwanie na deportację, że wkrótce przyjdą nowi okupanci.

Następnego dnia gromady ludzi rzuciły się na sklepy, ładując do worków i na wozy wszystko, co tylko dało się zabrać. W Turzysku szabrownicy, ogołociwszy sklepy, ograbili kilkanaście żydowskich mieszkań. Nikt już ich przed rabunkiem nie był w stanie powstrzymać – sowiecka milicja i administracja w popłochu ewakuowała się na wschód. Pancerne hitlerowskie zagony zaczęły szybko posuwać się za uciekającymi i zdeorganizowanymi wojskami. Przez Radowicze Niemcy przeszli jak na defiladzie. Ukraińcy witali ich entuzjastycznie, chlebem i solą, pod naprędce skleconymi tryumfalnymi bramami, udekorowanymi faszystowskimi i ukraińskimi flagami, swastykami i tryzubami. Na Kresy Wschodnie przyszła druga okupacja, niemiecko-ukraińska. Dla ludności polskiej jeszcze okrutniejsza niż czerwona, bo wyjątkowo krwawa.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej zapobiegł kolejnym masowym deportacjom w głąb ZSRR. Według krążących wówczas pogłosek, tym razem po Polakach na Kresach nie miało pozostać śladu, zwłaszcza w szerokim pasie przygranicznym. Wyludnione wsie miały być zasiedlone ludnością rosyjską z głębi Związku Radzieckiego, uległą już władzy i przyzwyczajoną do kolchozowej rzeczywistości.

Większość Ukraińców, a zwłaszcza nacjonalistycznie nastawiona młodzież, przyjęła wkroczenie Niemców z nieukrywanym zadowoleniem, żeby nie powiedzieć entuzjazmem. Już następnego dnia po opuszczeniu Radowic przez Rosjan miejscowi chłopcy rzucili się na kolchoz, rozdrapując jego majątek. Zabrali swój inwentarz żywy i martwy, rozebrali budynki, dzieląc się budulcem, a następnie odtworzyli zaorane miedze. Polacy z nieukrywaną ironią przyglądali się likwidacji kolchozu, organizowanego niedawno z niemałym entuzjazmem, zwłaszcza przez młodzież należącą już do komsomołu. Zaledwie przed tygodniem widziałem, jak ci sami członkowie kolchozu szli przez wieś do pracy na pola, śpiewając skoczne czastuszki pod akompaniament akordeonu.

W pierwszych dniach po wkroczeniu Niemców obserwowało się wśród Ukraińców powszechny zachwyty wszystkim, co niemieckie, zwłaszcza doskonale uzbrojoną armią i jej wodzem – Hitlerem. Oficerowie i żołnierze Wehrmachtu byli podziwiani i goszczeni we wsiach przy wtórze śpiewów. Sąsiad nasz, Iwan Lewczuk, kierownik miejscowej kooperatywy, który często przekonywał ojca o wyższości ustroju sowieckiego nad wszystkimi innymi, zaczaj: teraz wychwalać hitlerowców. Dwóch synów oddał do policji, chlubiąc się tym przy byle okazji.

Nowopowstała selrada (rada gromadzka) po uporaniu się z pozostałościami sowieckich struktur (kolchoz, kooperatywa) przystąpiła do czegoś w rodzaju lustracji. Wspólnie z policją i przy udziale niemieckich oficerów żandarmerii dokonała oceny postaw i zachowań mieszkańców wsi za poprzedniej

władzy. Trzeba przyznać, że z tą lustracją było różnie w innych wsiach. W Radowiczach, gdzie do władzy weszli bogatsi i rozsądniejsi gospodarze, „lustrację” potraktowano ulgowo i listy proskrypcyjnej Niemcom nie przekazano. Obawiano się pewnie wkładać kij w mrowisko, a może żal im było swoich. Polakom zaś trudno było cokolwiek zarzucić – z Ukraińcami żyli od dawna w najlepszej zgodzie, oparli się skutecznie kolektywizacji, władzy poprzedniej nie chwalili, a teraz do nowych urzędów się nie garnęli.

Inaczej było z „lustracją” w sąsiedniej wsi Klusk, prawie w całości ukraińskiej, biednej, sympatyzującej z komunizmem jeszcze przed wojną. W wyniku zadawnionego konfliktu między jej mieszkańcami jedna z Ukrainek przekazała do Einsatzkommando w Kowlu listę swoich nieprzejednanych wrogów o komunistycznych zapatrywaniach. W połowie sierpnia 1941 roku Niemcy z zaskoczenia zgarnęli we wsi 19 mężczyzn, w tym jednego Polaka z sąsiedniej Dąbrowy – Schmidta i wywieźli do pobliskiego lasu. Tam podczas sprawdzania listy skazańców oficer zainteresował się niemieckim nazwiskiem, a gdy dowiedział się, że Schmidt ma trochę niemieckiej krwi po przodkach, kazał mu opuścić szereg i iść do domu. Reszta ofiar wykopała sobie grób i została pojedynczo rozstrzelana. Egzekucja miała miejsce niedaleko zabudowań dziadków. Ludzie w pobliskich gospodarstwach przerwali pracę i z trwogą spoglądali w stronę lasu, skąd dochodziły strzały i krzyki mordowanych. Gdy odjechały samochody i w lesie nastąpiła cisza, kilku chłopców, wśród których znalazłem się i ja, szybko natrafiło na miejsce egzekucji. W sosnowym lesie widniała duża przyzma żółtego piasku – świeży grób. Wkrótce przybiegły kobiety, żony i matki zamordowanych, pokładły się na mogile, zawodząc i lamentując głośno. Nagle ktoś krzyknął, że wracają Niemcy. Tłum rzucił się do ucieczki w głąb lasu. Ale wkrótce ludzie wrócili i znowu rozległ się płacz i lament kobiet i dzieci, który co dzień powtarzał się do późnej jesieni.

Zaraz po wkroczeniu Niemców pojawili się we wsi jacyś przybysze, którzy organizowali tajemnicze zebrania dla wybranych Ukraińców. Wśród ludności polskiej zaczęły krążyć pogłoski, że poddają oni młodzież ukraińską antypolskiej propagandzie. Uczyli również pieśni, które towarzyszyły później młodym nacjonalistom na zebraniach, ćwiczeniach wojskowych, uroczystościach, a dwa lata później – w przygotowaniach do krwawej rozprawy z ludnością polską. W rażący sposób zmienił się stosunek wielu Ukraińców do Polaków. Zjadli nacjonałiści zaczęli ostentacyjnie unikać kontaktów ze swoimi polskimi sąsiadami, przestali zauważać ich na ulicy, w polu. W okolicy powiało chłodem. Trzeba jednak podkreślić, że nie wszyscy Ukraińcy ulegli tym prymitywnym i zwodniczym poglądom. I w naszej wsi było wielu takich, którzy odżegnali się od faszystowskiej ideologii i potępiali zbrodnicze zapędy swoich rodaków. Byli jednak stanowczo za słabi, by nie dopuścić do kainowych zbrodni. Za sprzeciw czy nieposłuszeństwo płacili często najwyższą cenę.

Nowa okupacja pozbawiła ojca pracy i skromnego nawet zarobku. Rysowały się przed nami złe perspektywy na przyszłość. Mimo to rodzice zdecydowali się na budowę domu i budynków gospodarskich. Nowi okupanci nie zabraniali budować się w dowolnie wybranym miejscu, trzeba było tylko mieć potwierdzenie z selrady, że budulec został zgromadzony legalnie. W połowie lipca 1941 roku przystąpiliśmy do dzieła. Skrzyknięci sąsiedzi dwoili się i troili, by zdążyć z budową przed jesiennymi chłodami. Pod koniec sierpnia dom stanął w surowym stanie, a niebawem stodoła i chlew. Wszystkie budynki w dużym wiśniowym sadzie, założonym przed kilku laty w miejscu, gdzie stał nasz pierwszy domek, rozebrany po przeprowadzce do gajówki. Nowe siedlisko, w porównaniu do okolicznych, prezentowało się ładnie. Dom postawiony był z solidnego budulca – grubych brusów nasyconych żywicą. Miał trzy pokoje, przestronną kuchnię, sień, spiżarnię. Dach trzeba było pokryć na razie słomą, chociaż jego konstrukcja przewidywała gonty, blachę, albo dachówkę. Ale o takich materiałach w tamtych czasach można było jedynie marzyć. Stolarkę wykonali Żydzi z Turzyska – ojciec z synem i zięciem, świetni rzemieślnicy. Za pracę otrzymywali wyżywienie na bieżąco oraz mąkę, ziemniaki i drewno na opał. Mimo pośpiechu, bo mieli wyznaczony przez Niemców termin powrotu, wykonywali wszystko bardzo starannie. Ich pracy przyglądałem się z największą ciekawością i wiele się nauczyłem. Zapragnąłem nawet zostać stolarzem, do czego namawiał mnie Żyd senior. W listopadzie wezwano ich go getta. Nie ukończyli wszystkich prac. Zegnali się z nami płacząc. Senior ocierał łzy rękawem okropnie brudnej kapoty, głaskał mnie po głowie i życzył, bym dożył lepszych czasów. Pamiętam, jak szli gęsiego przez las, napiętnowani żółtymi łatami, niosąc swoje narzędzia i worki z ziemniakami. Zginęli w następnym roku rozstrzelani pod Turzyskiem za katolickim cmentarzem.

Wybudowanie się w tamtych trudnych czasach wymagało wielkiego nakładu finansowego. Wyprzedaliśmy się doszczętnie ze wszystkiego, co można było sprzedać. W rezultacie w srogą zimę 1941/42 czarna bieda zajrzała nam w oczy. Ledwie starczało chleba, źle karmione krowy, w chłodnym chlewie, dawały tyle mleka co kot napłakał. Dziadkowie, którym też się nie przelewało, wspomagali nas, czym mogli: mąką spod żaren, bo innej nie było, jarzynami, gorącą strawą. Babcia, która nam serdecznie współczuła, na Wigilię przyniosła kilka pachnących jabłek, przechowywanych w tajemnicy przed domownikami. Mimo dotkliwego niedostatku cieszyliśmy się jednak nowym domem. Marzy-

liśmy o bezpiecznym i dostatnim życiu, o klęsce wrogów i wolnej Polsce. A wydarzenia na Wschodzie – powstanie Wojska Polskiego i klęska Niemców pod Moskwą – usposabiały do takich marzeń.

Rok 1942 na Wołyniu był brzemienno-wydarzeniowy. Był to okres nasilającego się hitlerowsko-ounowskiego terroru wobec ludności żydowskiej, polskiej i w pewnym stopniu ukraińskiej. Karne ekspedycje rekwirowały po wsiach żywność – zboże, ziemniaki, trzodę, a również ciepłą odzież dla walczącej na wschodnim froncie hitlerowskiej armii. W połowie sierpnia zostali wymordowani Żydzi z wołyńskich gett, w tym nasi znajomi z turzyskiego getta. Syn Brunsteina, prowadzony w kolumnie na stracenie, wyrwał esesmanowi pistolet maszynowy, ale nie umiał się nim posłużyć i został skoszony serią innego konwojenta. Niektórym Żydom, nawet całym rodzinom, udało się wówczas uniknąć śmierci w zbiorowej masakrze, ale nie na długo. Wyłapywali ich ukraińscy policjanci i poddawali często najokrutniejszym torturom, by wydobyć rzekomo ukryte przez nich kosztowności.

Pewnej grudniowej nocy nasz nowy pies Łysek zaczął gwałtownie ujadać. Podbiegliśmy wszyscy do okien, wygaszając lampę. W księżycowej poświacie widać było dorosłych i dzieci, przebiegających przez pole w kierunku lasu. Byli to bez wątpienia Żydzi, ludzie-widma. Na początku stycznia 1943 roku, w mroźny i śnieżny wieczór, rozległo się stukanie do drzwi. Byłem w domu tylko z siostrą. Rodzice wybrali się do sąsiadów. Łysek rzucił się do drzwi, zjadając je przedtem. Rozjaśniłem karbidówkę, Łyska zamknąłem w komórce i zapytałem, kto się dobija. Usłyszałem moje imię i błagalną prośbę, by otworzyć. Po chwili wahania odsunąłem ciężką zasuwę. W drzwiach ukazało się widmo w łachmanach i szronie.

– Poznajesz mnie? Jestem Jasek – powiedział szeptem. Stał przede mną mój starszy szkolny kolega – Żyd, któremu schutzmani zabili matkę i siostry – Chajkę i Rywkę, gwałcąc je przedtem. – Chcę jeść. Nikt mnie nie widział. Na dworze zadymka. Nie bój się.

Dałem mu bochenek chleba, poleć słoniny i butelkę bimbru. Jasek podziękował i pośpiesznie wyszedł. Przykręciłem karbidówkę i pobiegłem do okna, by zobaczyć, w którym kierunku poszedł, ale nocna zamięć ograniczała widoczność. Po powrocie rodziców zaraz z przejściem powiedziałem o niezwykłej wizycie, na co ojciec zmarszczył brwi, przyłożył palec do ust i cicho powiedział:

– Nikomu ani słowa.

Dopiero po powrocie z obozu koncentracyjnego, już po wojnie, wyjawiał tajemnicę, że przez całą tamtą zimę dokarmiał Joska, nie mówiąc o tym nawet mamie. Dzięki ojcu Jasek przetrwał surową zimę, zawieje, siarczyste mrozy w jamnikowatym szalasi-budzie, misternie skonstruowanym z leszczynowych kablaków i igliwia w sosnowym młodniku, a częściowo i w naszej stodole.

Zima 1942/43 była mroźna i śnieżna. W styczniowe wieczory, mimo przejmującego chłodu, często wystawialiśmy na dworze wpatrzeni w gwiazdziste, granatowe niebo, wsłuchując się w przeciągły jęk niemieckich eskadr, zdążających w rejon Stalingradu. W pierwszych dniach lutego któryś z kolei raz pojechałem z ojcem do Kowla, odległego w prostej linii o 20 kilometrów. Woziliśmy tam żywność, głównie masło, słoninę, mięso, skupowane od miejscowej ludności, wymieniając je na odzież, sacharynę, karbid, okucia do stolarki i wiele innych rzeczy. Przez Kowel jechaliśmy ulicą Monopolową i Warszawską, a następnie skręciliśmy w jakąś małą uliczkę koło dworca kolejowego, gdzie mieszkali nasi kontrahenci – rodziny kolejarskie. Taki handel był bardzo niebezpieczny, gdyż groziły za niego surowe okupacyjne wyroki, a w najlepszym razie konfiskata towaru. Pewnego razu tej zimy napędził nam panicznego strachu szef niemieckiej żandarmerii w Kowlu Fritz Manthei, postrach miasta i okolic, znany z tego, że bez powodu strzelał do ludzi na ulicy. Ostrzegła nas przed nim znajoma ojca, dzięki czemu zjechaliśmy w ostatniej chwili z Monopolowej i skryliśmy się z zaprzęgiem za zabudowaniami. Moment później kat Kowla przejechał obok na motocyklu, a po chwili wracał rozglądając się, ale nas nie zauważył. Odczekawszy trochę, ruszyliśmy galopem w kierunku lasu zadybskiego. Przy następnych wyjazdach do Kowla mieliśmy się na baczności, by nie natknąć się na Fritza.

Podczas ostatniej naszej eskapady do Kowla siedziałem długo zmarznięty i wygłodniały, podczas gdy ojciec załatwiał interesy. Wrócił pod wieczór w wyjątkowo dobrym humorze i uradowany powiedział, że Niemcy pod Stalingradem ponieśli sromotną klęskę. Chodzą po Kowlu markotni, a niektórzy po pijanemu mówią wprost, że Hitler kaput. Obchodzą żałobę po zniszczonej wielkiej armii. Z Kowla wyjechaliśmy niebezpiecznie późno, ale za to w dobrych humorach. W okolicy wsi Tahaczyn nasza klacz nagle puściła się w pełny galop. Ojciec uchwycił mocno lejce i batem wskazał mi na łąkę, po której w odległości kilkudziesięciu metrów pędziły za nami dwa basiory, dobrze widoczne w poświacie księżycy. Pogodny nastrój prysł nagle, obleciał mnie niemiecki strach, ale niemili „satelici” pozostali w tyle. Ojciec wyjaśnił, że mogły to być wilki wypłoszone przez partyzantów z podkowiejskich lasów, albo po prostu zdziczałe psy, których wówczas nie brakowało.

Na początku 1943 roku położenie ludności polskiej na Wołyniu uległo dramatycznemu pogorszeniu, głównie wskutek działalności ukraińskich nacjonalistów. Sytuację podgrzewali również niektórzy popi. Już wczesną wiosną tego roku hiobowe wieści budziły wśród Polaków przerażenie i bezradną rozpacz. Policja ukraińska pod byle pretekstem przeprowadzała akcje represyjne, dokonując masowych aresztowań i egzekucji. Wstępem do tych nasilonych działań była pacyfikacja Obórek w powiecie

lucim, dokonana 13 listopada 1942 roku Kobiety i dzieci oraz starszych mężczyzn spędzono do stodoły i wymordowano, a następnie spalono.

Wstrząsającą nami wiadomością o mordzie dokonanym przez bulbowców 8 lutego 1943 roku we wsi Parośle w powiecie sameńskim. Zginęło tam ponad 170 Polaków. Potem nastąpiły kolejne ataki na bezbrońną ludność. 23 kwietnia bulbowcy (banderowcy) dokonali masowego mordu w Janowej Dolinie, w powiecie kostopolskim. Napad band nastąpił nocą w Wielki Piątek. Ludzie ginęli w płomieniach bądź byli zabijani, gdy ratowali się ucieczką z płonących zabudowań. W ten sposób zginęło ponad 600 osób. Niemiecki garnizon, liczący około 1000 żołnierzy, zachował się w czasie rzezi zupełnie biernie, nie opuszczając nawet swoich koszar. Następnego dnia w Hucie Antonowieckiej, pow. krzemieniecki, zginęło z rąk oprawców banderowskich blisko 600 osób. Wcześniej rano bandyci okrzykami wiesi, podpalali budynki i mordowali mieszkańców przy użyciu siekier, noży, widel. Pojmanych rzucali do ognia. Rzezie stawały się częstsze, okrutniejsze i coraz bardziej masowe.

Bolesnym wstrząsem dla ludności polskiej Radowicz i sąsiednich wsi było zamordowanie w nocy z 10 na 11 kwietnia 1943 roku Marcelego Leśniewskiego i jego dwóch dorosłych synów: Eugeniusza i Antoniego, członków miejscowej konspiracji. Bandyci w niemieckich mundurach otoczyli w nocy dom, przeprowadzili rewizję i w języku niemieckim poinformowali domowników i aresztowanych, że dostarczą zatrzymanych do niemieckich władz w Kowlu. Córka Leśniewskiego, Antonina, o świcie powiadomiła sąsiadów Rakowskich, że Niemcy aresztowali ojca i braci. Natychmiast pojechała z Wacławem Rakowskim do Kowla, ale w żandarmerii o niczym nie wiedzieli. Tymczasem już rano sąsiedzi znaleźli ciała synów, ledwo przyprószone ziemią na naszym polu na Kolonii Żuków, odległej o jakieś dwa kilometry od miejsca zamieszkania Leśniewskich. Zwłoki ojca z roztrzaskaną głową leżały sto metrów dalej, co by wskazywało, że usiłował uciec, osłaniany zapewne przez synów. Jeden z nich miał mieć pistolet i na pewno użył go w desperackiej walce z bandytami. Pogrzeb był bardzo liczny, mimo że Ukraińcy przebąkaliwali o zmasakrowaniu żałobników. Rodzina podejrzewała o inspirację morderstwa Teodora Szabaturę, komendanta policji ukraińskiej w Kowlu, zbiegłego już z całym batalionem schutzmanów do UPA. Szabatura, absolwent szkoły policyjnej w Trawnikach koło Lublina, był przed wojną gajowym w majątku Krasne koło Rejowca.

Z morderstwem Leśniewskich zbiegła się wiadomość o zamordowaniu ośmiu Polaków w niedalekim polskim Osieczniku. Była to planowa akcja eksterminacyjna, obejmująca najpierw mężczyzn w sile wieku, którzy dla ratowania swoich rodzin chwyciliby bez wątpienia za broń, jak to czynili inni na całych Kresach Południowo-Wschodnich.

W połowie maja pod Kluskim został schwytyany przez banderowców i zaginaj; bez wieści Kazimierz Daszkiewicz z Radowicz, łącznik miejscowej konspiracji akowskiej. Penetrowane przez banderowców drogi stały się niebezpieczne dla ludności polskiej, która nie tylko w naszej wsi przestała oddalać się poza najbliższy teren, rezygnując z wyjazdów do kościoła w Turzysku i majowych nabożeństw. Pani Tokarska zawiesiła komplety, na które uczęszczało wiele polskich dzieci.

Pod koniec czerwca banderowcy bestialsko wymordowali jedną z rodzin Daszkiewiczów: ojca Jana, jego żonę Paulinę oraz dwie córki – Helenę z 9-miesięcznym dzieckiem i Leokadię, którą zakłuli widłami w stajni pod żłobem, gdzie się schowała. Pięcioletni synek Heleny, Stefan, skrył się za szafą i ocalał. Znalaziono go następnego dnia płaczącego przy zwłokach matki. Kilka dni po tym mordzie syn Jana, Stefan, został schwytyany przez banderowców i dotkliwie poraniony, ale przy pomocy życzliwych Ukraińców zdołał się uratować. Adam Daszkiewicz (z innej rodziny – matka Ukrainka) został zakopany przez upowców po szyję w ziemi, bo nie chciał przystąpić do UPA i mordować Polaków. Cudem się uratował. Wielorodzinny ród Daszkiewiczów, osiadły tutaj przed wiekami z nadania Michała Korybuta Wiśniowieckiego, teraz, jak nigdy dotychczas, poniósł liczne i bolesne ofiary w ludziach i majątku ze strony UPA.

Jak na całym Wołyniu, również w Radowiczach tutejsi ounowcy podporządkowali sobie propagandą i terrorem miejscową ludność ukraińską, zwłaszcza młodzież, przygotowując ją do krwawej rozprawy z Polakami. Już od początku czerwca 1943 roku coraz częściej we wsi rozlegał się banderowski „szlagier” – „Smert, smert, Lacham smert!”, śpiewany przez miejscowych osiłków, niedawno jeszcze komsomolców i ich galicyjskich, nazistowskich instruktorów. Przy wtórze takich zbójceckich pieśni, z inicjatywy ounowców, usypano na wzniesieniu wyniosły kopiec i ustawiono na nim wysoki prawosławny krzyż, przybrany sino-żółtymi barwami i tryzubem. Duża część ludności polskiej żyła wówczas złudzeniami i drogo za nie płaciła. Zwłaszcza starsi mieszkańcy, którzy powtarzali: nie uczyniliśmy nikomu krzywdy, więc dlaczego mieliby nas zabić? W tym przekonaniu byli często utwierdzeni przez swoich ukraińskich sąsiadów. Tymczasem w dniach 10, 11 i 12 lipca 1943 roku masowe mordy ludności polskiej osiągnęły piekielne apogeum pochłaniając ponad 15 tys. ofiar.

Pod koniec lipca upowcy uprowadzili z Radowicz siedmiu młodych, których uwięzili w Suszybabie, gdzie mieli swoją placówkę. Uwięzionych bito i maltretowano, by wydobyć dane o konspiracji. Wcześniej czy później czekała ich okrutna śmierć. Powiadomiono o tym oddział samoobrony w Zasmkach. Pięciu dobrze uzbrojonych chłopców ruszyło bez zwłoki do Radowicz. Stanisław Romankiewicz

z pistoletem w ręce kategorycznie zażądał od przewodniczącego selrady, Iwana Karbowskiego, wypuszczenia uwięzionych, grożąc spalaniem zabudowań Ukraińców i wymierzeniem winnym najsurowszej kary. Brawurowa akcja dała efekt nadspodziewany – wszyscy zostali wypuszczeni na wolność: Bolesław Budzisz, Tadeusz Dziedzic, Waclaw Furga, Mieczysław i Tadeusz Łodejowie, Waclaw Molenda i – nie mam pewności – Maria. Kilka dni później pięciu partyzantów z Zasmyk udało się do swoich gospodarstw w Radowiczach po żywność dla oddziału i zbiegłej ludności.

Powstanie zasmyckiej samoobrony, jej brawurowe akcje, mylące przemarsze przez ukraińskie wsie oraz kolportowanie wieści o dużej sile liczebnej i ogniowej polskich partyzantów przyhamowały na pewien czas masowe akcje eksterminacyjne w południowej części powiatu kowelskiego.

Okolo 20 lipca w ukraińskich wsiach na południe od Radowicz, w Tuliczowie, Werbicznie, Boblach i innych, zauważono narastający napływ banderowców. Do polskich mieszkańców poszły elektryzujące, ostrzegawcze sygnały, by mieć się na baczności, a zwłaszcza noce spędzać w ukryciu. Z 23 na 24 lipca, podobnie jak dotychczas, nie nocowaliśmy w domu. Tym razem spaliśmy w życie. Łyska pozostawiliśmy na łańcuchu, by nie zdradził miejsca naszego noclegu. Rano obudziła mnie siostra i przerażona mama. Usłyszałem w powietrzu ostry szum i głośne wybuchy na kierunku Tuliczów – Abramowiec. Dochodził stamtąd gęsty ogień z broni maszynowej. Domyśliliśmy się, że nad nami przelatują pociski artyleryjskie, wystrzeliwane gdzieś pod Turzyskiem. Nad ostrzeliwanym terenem krążył samolot. Wkrótce zjawił się ojciec i powiedział nam, że działa biją po pacyfikowanym przez Niemców Tuliczowie i wschodniej części Radowicz. Wyszliśmy z żyta, wpatrując się w horyzont, skąd dochodziła gwałtowna strzelanina i gdzie w błękitne niebo wzbijały się słupy czarnego dymu. Płonęły zabudowania Tuliczowa i Abramowca. Jak się przypuszcza, pacyfikację sprowokowali banderowcy, zabijając w sąsiedztwie zasmyckiej samoobrony kilku Niemców dozorujących Liegenschaftu (folwarku). Była to prowokacja obliczona na to, że w odwecie Niemcy zlikwidują samoobronę w Zasmykach, ułatwiając banderowcom likwidację ludności polskiej w tej części powiatu kowelskiego.

Na drugi czy trzeci dzień po pacyfikacji odwiedził swoich rodziców Jan Sobczyk „Buzdygan”. Pod wieczór poszedł do sąsiada Ukraińca, Dmytra Sawczuka, niechętnego banderowcom. Babcia zaniepokojona, że Janek długo nie wracał, wysłała mnie, bym jak najszybciej wywołał go do domu. Pobiegłem do Dmytra i na podwórzu zastałem taki widok: na balach siedziało wielu Ukraińców – mężczyzn, kobiet i dzieci z pobliskich zabudowań, a przed nimi stał z rękami w kieszeniach Janek i opowiadał im niestworzone rzeczy o doskonałym uzbrojeniu i dużej liczebnie zasmyckiej samoobronie, zasilanej oddziałami przybyłymi z centralnej Polski. Ukraińcom oczy wychodziły z orbit z jadowitego zdumienia i przestachu zarazem. Gdy wracaliśmy, zapytałem, co by zrobił, gdyby go zaatakowali na podwórzu. Odpowiedział, że w każdej kieszeni miał coś do obrony, jak nie granat, to pistolet. Żywcem nie dałby się wziąć, z czego oni dobrze zdawali sobie sprawę. Dla ludności polskiej Radowicz i okolicznych wsi rozpoczął się najtrudniejszy okres wyczekiwania, pełen rozterek, lęku i rozpacz. Z przerażeniem wymieniano miejscowości, w których watahy UPA z miejscowym chłopstwem dokonały apokaliptycznych rzezi. Po każdej tragicznej wiadomości o ofiarach i bestialstwach nogi uginały się jak pod wielkim ciężarem. Trwanie w ustawicznym lęku przez wiele miesięcy rujnowało system nerwowy, zwłaszcza mniej odpornych na takie permanentne śmiertelne zagrożenie. Gdzieś na początku sierpnia zjechał, do nas na nocleg kierowca hr. Stefana Sumowskiego, byłego właściciela majątku w Litynie, wywiezionego na Sybir w 1939 roku. Uciekał za Bug jednokonką, wioził ciężko chorą na gruźlicę żonę i dwoje gorączkujących dzieci. Zdecydował się jechać przez piekło banderowskiego terroru, przez spalone wsie, w których trzy tygodnie temu wycięto polskich mieszkańców. Czy mu się udało uratować dzieci, żonę, siebie?

Z Zasmyk szły ostrzeżenia i słowa otuchy. Kazano nam mieć się na baczności, noce spędzać w kryjówkach, w różnych miejscach i nie wszyscy razem. Staraliśmy się przestrzegać rozsądnych zaleceń, ale spanie w ciasnej kryjówce – w stodole czy wykopanej w sadzie norze – było okropną udręką. Parne noce, nasycone lękiem, uniemożliwiały sen, nasuwały najczarniejsze myśli i wyobrażenia. Po kilku takich nocach wróciliśmy do noclegów w polu – w kopach żyta, gdzie przynajmniej człowiek nie dusił się z braku powietrza. Opatuleni w koce, długo wsłuchiwaaliśmy się w nocne szmery, szum wiatru i różne tajemnicze odgłosy, krzyki i trzepotanie ptaków w stojącym obok lesie, ujadanie i wycie wiejskich psów, nieraz strzały. Często sen długo nie przychodził, myśli kłębiły się wokół jednego: kiedy przyjdą? Gdzie uciekać? Czy zdążą z pomocą nasi z Zasmyk?

Krewnych i znajomych odwiedzaliśmy o zmierzchu, skradając się ścieżkami, bo drogi były niebezpieczne. W tych warunkach szybko dojrzewiała decyzja o ucieczce do Zasmyk. Czekaliśmy, jak wszyscy polscy mieszkańcy, na sygnał i obiecaną eskortę, chociaż niełatwo było pogodzić się z myślą, że trzeba będzie opuścić gospodarstwo, zwłaszcza dom, wybudowany morderczym wysiłkiem. Namawialiśmy usilnie do ucieczki dziadków i ciocię Marysię Stefanowiczową, bo nie mogliśmy sobie wyobrazić, by oni zostali tutaj na pastwę banderowców, ale dziadkowie, jak wielu wówczas starszych ludzi, po prostu nie chcieli słyszeć o opuszczeniu gospodarstwa. Bali się niedostatku, głodu i poniewierki na stare lata. A jak zabiją – mówiła babcia – to już trudno, taka jest wola Boża.

Dla nas, a zwłaszcza dla ojca, takie myślenie było nie do przyjęcia. Postanowiliśmy jak najenergiczniej, bez zwłoki przygotować się do opuszczenia Radowicz. Tego samego zdania była większość naszych krewnych i znajomych, zamieszkujących Polską Kolonię. Wujostwo Molendowie i ich sąsiedzi czynili gorączkowe przygotowania do ucieczki. Trzeba było przede wszystkim zgromadzić większe zapasy żywności, zwłaszcza mąki, której ostatnio ciągle wszystkim brakowało. Mielenie zboża na żarnach należało do prac wyjątkowo ciężkich, wprost katorżniczych, a i dostęp do żaren też nie był łatwy, trzeba było czekać w kolejce. Młyny dla ludności polskiej były już niedostępne. Większe znajdowały się w rękach niemieckich – mdły dla wojska, mniejsze, we wsiach, służyły wyłącznie Ukraińcom i UPA. Mimo niebezpieczeństwa ojciec zdecydował się 15 sierpnia pojechać do ukraińskiej wsi, Werbiczna, gdzie był czynny młyn, zarządzany przez banderowców. Pracował na tzw. „holgaz”, czyli gaz ze spalanej dębiny, grabiny i innego twardego drewna.

Wyjazd był dużym ryzykiem, mógł skończyć się tragicznie. Mama była mu przeciwna i żegnała nas z płaczem. Po drodze nie spotkaliśmy ani jednego banderowca, ale w Werbicznie było ich sporo. Już przy pierwszych zabudowaniach kilku zawzięcie dyskutowało, paru siedziało na przydrożnej łące, a nieco dalej przy okazałym domu z gankiem, przed którym stał wartownik, dwóch zatrzymywało furmanki i o coś wypytywało woźniców. Ich widok przeraził nas. Ojciec szepnął mi, bym zsunął się z wozu i poszedł obok łąką. W mig znalazłem się na skraju olszyny, ciągnącej się wzdłuż drogi. Ojciec tymczasem podjechał pod ganek, ale banderowiec zobaczywszy na wozie worki ze zbożem, dał znak ręką, by jechać dalej. Za zakrętem wsiadłem na wóz z niesamowitą ulgą. Ojciec uśmiechnął się, szarpnął lejcami i wóz potoczył się po ubitej, gliniastej drodze. Pod młynem stało już wiele wozów w oczekiwaniu na mąkę. Ojciec, nie odzywając się do czekających chłopów, postawił worki w długim rzędzie. Pokładliśmy się na wozie, udając śpiących. Po kilku godzinach przyszła kolej na nasze żyto, ale młynarz, wysoki, bosy dryblas, pominął je. Na coś widocznie czekał, może na łapówkę. Ojciec nie interweniował, bo nie znał dobrze ukraińskiego, bał się wpadki. Czekaliśmy cierpliwie wtuleni w słomę na wozie. Klacz zjadła obrok i chciała pić, ale wokół nie było studni ani strumyka, a udanie się do kogoś po wiadro wody mogłoby się źle skończyć. Ogarniał nas coraz większy niepokój i rozczarowanie. Czas się dłużył jak wieczność. Słońce chyliło się ku zachodowi. Ojciec zrezygnowany zaczął poprawiać uprzęż na klaczy, przygotowując zaprząg do drogi. Zdecydował się na powrót bez mąki. „Życie ważniejsze niż mąka” – powiedział.

W tym momencie zauważyliśmy na pobliskiej drodze kilka furmanek, które zbliżały się do młyna. Konie szły stępą. Wozom towarzyszyło kilkanaście osób, głównie dzieciarnia. Kolumna zatrzymała się przy młynie. Nasza ciekawość przemogła lęk. Zbliżyliśmy się do drogi. Spozregliśmy, że na każdej furmance siedziało po dwóch banderowców, a pod płachtami leżeli na wozach jacyś mężczyźni. Ze wsi zbiegło się sporo osób, powstał tłum, który zaczął wiwatować wrzeszcząc: „Sława Ukrainie! Śmierć Lachami”. Z wrzaskliwych i urywkowych rozmów wynikało, że na wozach leżą powiązani kolczastym drutem polscy partyzanci. Po kierunku jazdy ojciec mylnie wywnioskował, że nie mogą to być nasi z Zasmyk. Wróciliśmy z trwogą do wozu. Ojciec widząc, że młyn jest pusty i bez załogi, załadował na wóz dwa worki mąki, jeszcze ciepłej i ruszyliśmy z powrotem, początkowo stępą, by nie zwracać niczyjej uwagi, a następnie za wzniesieniem pełnym klusem. Połną drogą opuściliśmy wieś. Jechaliśmy w milczeniu, skuci lękiem i przygnębieni losem wiezionych na straszną śmierć polskich partyzantów. Bałem się jak nigdy dotychczas, by się nie natknąć na jakiś banderowski patrol. Włos mi się zjeżył, gdy mijaliśmy tuż przy drodze mogiłki, czyli cmentarz prawosławny. W poświacie księżycy była widoczna jak w dzień czarna kępa drzew, a wśród nich bielejące krzyże cmentarne z zawieszonymi na nich białymi chustami. Zamknąłem oczy i zacząłem w myśli odmawiać pacierz. Ojciec czując mój lęk, przerwał milczenie pocieszając mnie, że dzisiaj mieliśmy dużo szczęścia. Jeżeli los będzie nam tak sprzyjał dalej, to przeżyjemy i najgorsze.

Przed północą byliśmy w domu. Łysek wybiegł naprzeciw, skomląc z radości. Mama witała nas ze łzami w oczach. Następnego dnia podzieliliśmy się mąką z dziadkami, czym sprawiliśmy im niemałą radość. Jak się niebawem dowiedzieliśmy, 18 sierpnia w Werbicznie byliśmy świadkami przewożenia przez banderowców pięciu polskich partyzantów, członków zasmyckiej samoobrony, przebywających czasowo na placówce w Julianowie koło Turzyska. Banderowcy, przebrani w polskie mundury wojskowe, weszli podstępnie do domu, gdzie znajdowali się Polacy. Nim ci się zorientowali z kim mają do czynienia, na obronę było już za późno. Uratowało się dwóch wyskakując przez okno. Schwytanych banderowcy przewieźli do wsi Suszybaba i tam bestialsko zamordowali. Wśród nich był nasz sąsiad Mieczysław Bednarek „Mantę!”.

Dnia 23 sierpnia 1943 roku, wczesnym rankiem, obudziły mnie bliskie karabinowe strzały. Zerwałem się na równe nogi, obudziłem siostrę i wybiegliśmy oboje na podwórze. W rogu sadu stała przerażona mama. Przywołała nas skinieniem ręki do siebie.

– Bulbowcy! – krzyknęła. – Strzelali do ojca i pobiegli za nim! Schowajmy się!

Pokładliśmy się na samym skraju żyta, bo nie było już czasu, by biec dalej. Na podwórze weszli upowcy. Jeden z nich zauważył nas. Kilku poszło w naszym kierunku. Mama szepnęła do mnie: „Uciekaj Felu!”

Zerwałem się i co sił pobiegłem przed siebie. Gruchnął strzał. Pochyliłem się i biegłem co tchu w piersiach. Bandy ci coś krzyčeli. Za sobą usłyszałem krzyk mamy i płacz siostry. Nagle znalazłem się na polnej drodze. Panowała poranna cisza, tylko serce waliło mi młotem. W jego rytmie dręały drzewa, błękitne niebo i wszystko dokoła. Za drogą rozciąęła się łąka, porośnięta z rzadka krzewami i kępami olch, a nieco dalej stały zabudowania dziadków. Pobiegłem przez łąkę. Z pewnej odległości zacząłem skradać się przez ogród do zabudowań. Podwórze było puste. Przyłgnałem do płotu, obserwując przez szparę dom. Po chwili pojawiła się babcia. Wysłuchawszy mnie w przygnębieniu powiedziała, że zapewne ci sami banderowcy przed niespełną godziną zagrozili dziadkom rozstrzelaniem i spalaniem zabudowań, jeżeli ich synowie, Jan i Henryk, nie zgłoszą się w miejscowym banderowskim sztabie. Oświadczyła stanowczo, że banderowcy chłopców nie dostaną żywych, a gdy starych zabiją, synowie pomszczą rodziców.

Okręzną drogą przez las pobiegłem do domu. Ukryłem się w zaroślach i obserwowałem puste podwórze. Wokół panowała cisza. Przez otwarte drzwi usłyszałem płacz siostry. Mama leżała na łóżku, miała silny atak duszniczy bolesnej, na którą cierpiała od kilku miesięcy. Przy niej stała bezradna i spłakana Danusia. Mama pocieszyła mnie, że ojciec na pewno uciekł. Był doświadczoneym żołnierzem, przeszedł kampanię wrześniową, umiał więc zachować się w takiej sytuacji jak dzisiaj. Gdy spostrzegł zbliżających się do podwórza banderowców, nie miał wątpliwości, co go może spotkać. Skoczył raptownie za budynek i pod jego osłoną pobiegł w kierunku pobliskiego gęstego zagajnika. Biegł pochylony, zyzakiem, po strzale padał, udając trafionego. Szczęśliwie dobiegł do zagajnika, gdzie się ukrył, a następnie pod osłoną nocy przedostał się do Zasmuk. Został żołnierzem samoobrony. Do Radowicz już nie wrócił.

Banderowcy postawili mamie to samo co i dziadkom żądanie: ojciec ma w ciągu trzech dni zgłosić się do ich sztabu. W przeciwnym razie zastrzelą nas i spalą zabudowania. Nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, co by się stało, gdyby ich żądanie zostało spełnione. Im chodziło o wymordowanie w pierwszej kolejności mężczyzn zdolnych do posługiwania się bronią. Z dziećmi, kobietami i starcami nie miałoby już większych kłopotów.

Ochłonawszy z silnego wrażenia zabraliśmy się z siostrą do obrządku inwentarza. Mama udała się do krewnych w Polskiej Kolonii, by dowiedzieć się, co robić dalej. Wróciła z informacją, że nocą był u nich goniec z Zasmuk. Polecił spakować najpotrzebniejsze rzeczy i mieć w pogotowiu wozy, a na sygnał zebrać się w miejscu, które zostanie podane. W drodze do Zasmuk będzie nas osłaniał pododdział samoobrony. Do tego czasu należy mieć się na baczności, nocie i wczesne ranki spędzać w ukryciu, powiadomić natychmiast samoobronę, gdyby we wsi pojawiło się więcej banderowców. Ze względu na deszczową pogodę następne noce spędzaliśmy w schowku w stodole. We dnie krzątaaliśmy się w trójkę przy zbiórce zbóż, zachowując środki ostrożności. Część domowego sprzętu zakopaliśmy o zmierzchu w ogrodzie. Przygotowany do podróży wóz ustawiliśmy przed domem. O zmroku nieopatrzenie szliśmy do schowka. Coraz bardziej dręczyła nas niepewność i lęk o nasze życie. Atmosfera stawała się już nie do zniesienia. Pragnęliśmy jak najprędeę uciec stąd. Tylko dziadkowie w dalszym ciągu nie chcieli słyszeć o opuszczeniu gospodarstwa. Nam radzili wyjechać jak najszybciej. Czekaliśmy więc na zbawczy sygnał i obiecaną obstawę. Dnia 25 sierpnia, późnym wieczorem, omawialiśmy w schowku szeptem nasz wyjazd, wsłuchując się jednocześnie w nocną ciszę, tajemniczą i groźną. We wsi poszczekiwały psy, co oznaczało, że kręcą się tam jacyś przybysze. Tym razem, jak na złość, Łysek kręcił się koło naszej kryjówki, skomlać. Późną nocą posnęliśmy, ale wkrótce obudziła mnie mama. Ktoś chodził po podwórzu. Rozległo się stukanie w okno. Łysek milczał. Widocznie – pomyśleliśmy – pobiegł znowu do sąsiadów.

Zacząłem dygotać jak w febrze. Przez szparę w ścianie stodoły było widać że ktoś idzie w naszym kierunku. Zamarliśmy z mamą w bezruchu, nie budząc siostry. Czekaliśmy już na najgorsze. Ale oto usłyszeliśmy radosne skomlenie Łyska i po chwili znajomy głos Henia, najmłodszego brata mamy, który 13 lipca wymaszerował z oddziałem do Zasmuk. Lęk nasz nagle zamienił się w nieopisaną radość. Wygramoliliśmy się z kryjówki, obudziliśmy Danusię i wszyscy troje uściskaliśmy serdecznie „Liska”. Przyszedł odwiedzić przede wszystkim swoich rodziców i namówić ich, by opuścili Radowicze. Ale dziadkowie trwali przy swoim. Powodem tej decyzji była m.in. choroba dziadzia – pogłębiający się ostatnio niedowład prawej ręki.

Henio przekazał nam serdeczne słowa od ojca, który szczęśliwie dotarł do Zasmuk i myślał o nas z nadzieją na szczęśliwe tam spotkanie. Ale zaraz bardzo zasmuciła nas wiadomość, że banderowcy zamordowali wiele osób z Radowicz, naszych dobrych znajomych, udających się do zasmuckiego kościoła i powracających stamtąd w niedzielę 22 sierpnia. Ciało jeszcze nie znaleziono, ale nadzieja, że są żywi, jest już znikoma. Z Radowicz nie dojechali do kościoła Adam Bartoszewski z żoną Weroniką, którzy chcieli odwiedzić syna Edwarda, będącego od kilku dni w samoobronie oraz sąsiadka Ludwika

Daszkiewicz, która pojechała z nimi, by zobaczyć się z synem Henrykiem. Miała jechać z nimi i Danusia Kostrubiec, by odwiedzić ojca Władysława, który w samoobronie od kilku dni był rusznikarzem. W drodze do Bartoszewskich użądliła ją pszczoła. Z powodu opuchlizny policzka musiała zrezygnować z wyjazdu i uratowała się. Bartoszewscy ze względu na zapowiadający się upał zdecydowali się jechać przez lityński las, by nie przegrzewać koni, o które bardzo się troszczyli. I tam ich spotkała śmierć. Z kościoła tej niedzieli nie wrócili Stanisław i Aniela Małkowscy, rodzice sześciorga małych dzieci oraz ich sąsiedzi: Rozalia Kułakowska i Maria Kiełbasa z czternastoletnim synem Marianem, a także trzynastoletnia Ewa Młynek. Inni radowiczanie, między innymi Bogumiła Molenda, którzy w obie strony jechali inną drogą, przez Piórkowicze, wrócili pod wieczór szczęśliwie do domu.

Wiadomość o śmierci znajomych bardzo nas zatrwożyła. Potwierdziła nasze obawy, że drogi do Zasmyk są już zamknięte i uciekający będą narażeni na śmiertelne niebezpieczeństwo. Późną nocą pożegnaliśmy się z Heniem z głęboką nadzieją, że nasi partyzanci przyjdą nam na czas z pomocą.

Dnia 26 sierpnia Ukrainiec Aleksander Hawryłuk, sąsiad i przyjaciel dziadków, przekazał im w tajemnicy, że banderowcy polecili miejscowym nazistom, by wzięli udział w najbliższych dniach w likwidacji ludności polskiej. Mieli wspomóc w tej akcji specjalny oddział, którego już oczekiwano we wsi. Wiadomość ta lotem błyskawicy obiegła polskie rodziny, pozostające jeszcze na swoich gospodarstwach. Od tej pory nikt z nas i sąsiadów nie wychodził na pole do pracy. Mama krzątała się po obejściu, trzymając się za chore serce, co chwila przystając, by odpocząć. Stale powtarzała płacząc: „Boże, za co nas tak karzesz?”. Staraliśmy się nie spuszczać mamy z oczu w obawie, że nam umrze i zostaniemy sami. 30 sierpnia przed południem przybiegła do nas zdyszana babcia z wiadomością od Aleksandra, że do jego lasu wjechało kilka furmanek z banderowcami. Część z nich poszła do wsi, by zwołać na popołudnie jakieś zebranie. Reszta banderowców śpi na wozach. Powiedziała również, że Aleksander obiecał ukryć dziadków w razie potrzeby na jakiś czas. Babcia z kolei zapewniła nas, że zaopiekuje się naszym inwentarzem, dopóki to będzie możliwe. Ponaglała mamę do wyjazdu, nawet gdyby nie było zbrojnej obstawy. Pożegnała się z nami serdecznie, jak nigdy dotąd. Za furtką odwróciła się do nas na moment i poszła w pośpiechu bez słowa. Nasza trójka wybuchła płaczem.

Noc z 30 na 31 sierpnia – ostatnią w Radowiczach – spędziliśmy w pobliskim, gęstym sosnowym młodniku, który kilka dni temu dał schronienie ojcu, a gdzie Żyd Josek, mój starszy szkolny kolega; ukrywał się w ubiegłą zimę. Teraz spotkał nas podobny los. O zmroku chyłkiem skradaliśmy się do zagajnika. Nagle na trakcie, przez który trzeba było przejść, dały się słyszeć odgłosy jadących wozów i głośnie rozmowy. Jechało kilka furmanek z banderowcami. Nie było czasu na ucieczkę. Pokładliśmy się w przydrożnym rowie, gdzie krzewy i zielsko dawały ukrycie. Jedna furmanka skręciła do naszych zabudowań. Po kilkunastu minutach odjechała, podążając za resztą. Gdy rozmowy ucichły i wozy skryły się w mroku, przebiegliśmy chyłkiem trakt, zagłębiając się w sosnowym młodniku. Wkrótce znaleźliśmy się na upatrzonym miejscu. Długo nie mogliśmy ochłonąć z wrażenia, dygocąc ze strachu.

We wsi zaczęły gwałtownie ujadać psy. Wzrastał się trwożny niepokój, w powietrzu wisiało coś groźnego. Zaczęliśmy się modlić szeptem. Opatuleni kocami i przytuleni do siebie posnęliśmy wreszcie. Późną nocą obudziła nas gwałtowna nawałnica. Rozległy się ogłuszające grzmoty i lunął rześisty deszcz. Ale burza wkrótce przeszła, niebo zaiskrzyło się gwiazdami, pociągnęło wilgotnym chłodem. Mimo przemoczenia i chłodu znowu posnęliśmy głębokim snem. Gdy obudziła nas mama, słońce było już nad lasem. Wstawał piękny słoneczny dzień. Ostrożnie wyszliśmy z zagajnika. Skradając się weszliśmy na podwórze. Drzwi w domu były pootwierane, na podłodze walały się porozrzucane rzeczy, pakowane przez nas z dużym trudem. Widoczna była obecność intruzów. Na widok tego bałaganu zdjął mnie dławiący strach, nogi uginały się jak z waty. Na myśl, że mogliśmy leżeć już tutaj martwi, zrobiło mi się mdło. Podeszedłem do siedzącej bezradnie na podwórzu mamy i krzyknąłem rozpaczliwie: „Uciekajmy, bo nas zabiją!”. Mama wstała, trzymając się za serce i powiedziała jakimś dziwnym głosem: „Uciekamy! Niech się dzieje już, co chce. Zawiadomię tylko dziadków”. I resztkami sił pobiegła do nich. My tymczasem w wielkim pośpiechu zebraliśmy z siostrą porozrzucane rzeczy, pakując je do worka. Kawalkiem czerstwego chleba zaspokoiliśmy poranny głód.

Czekając na mamę poczułem jakiś gorzki żal wszystkiego wokół: domu, sadu, pól i błękitnego nieba. Mama szybko wróciła, z trudem łapiąc powietrze. Okropnie zdyszana powiedziała:

– Uciekajmy! Zaprzęgać! Przyjechali; będą mordować! Aleksander powiedział dziadkowi, że jutro albo nawet dzisiaj będą nas zabijać.

Blednąc osunęła się na łąkę przed domem. Chwycił ją silny atak duszniczy. Rzuciłem się do stajni, wyprowadziłem klacz i z trudem narzuciłem jej uprząż. Na wóz włożyłem kilka snopków owsa, a następnie worki z rzeczami i mąką. Wypuściłem krowy z obory, które poszły na polanę. Łyska spuściłem z łańcucha i przygroziłem, by – zgodnie z życzeniem mamy – pozostał na podwórzu. Łyszek posłuchał, jak nigdy, usiadł pośrodku podwórza i z niepokojem przyglądał się, gdy ruszyliśmy w drogę.

Z pobliskiego wzniesienia spojrzałem na podwórze. Było widoczne jak na dłoni. Pośrodku siedział Łyszek i patrzył w naszą stronę. Zrobiło mi się go okropnie żal i poprosiłem mamę, byśmy go zabrali. Ale mama nie wyraziła zgody, licząc że wkrótce wrócimy, a przez ten czas będzie się nim opiekować babcia.

Widok opuszczanego podwórza z Łyskiem utkwił mi na zawsze w pamięci. Gdy o nim wspominam, wzruszenie ścisza mi gardło.

Jechaliśmy kłusem leśną, rzadko już uczęszczaną drogą, by umknąć niepostrzeżenie. Trzymając lejce biegłem z siostrą obok wozu, żeby klaczy na piaszczystej drodze było lżej. Mama leżała na wozie, zwijając się z bólu. Bez przeszkód przyjechaliśmy do Polskiej Kolonii, gdzie stał już rząd furmanek gotowych do drogi. Szczęściem, na wyczucie, trafiliśmy w samą porę. Byłem rozczarowany, gdy spostrzegłem, że jadą wyłącznie kobiety z dziećmi, bez zapowiadanej zbrojnej obstawy. Wiadomość, że widziano banderowców w pobliskich ukraińskich zabudowaniach, wprowadziła nas w nastrój trwogi, graniczącej z paniką. Ruszyliśmy natychmiast kolumną wozów w stronę Zasmyk, ponagłując się do szybszej jazdy. Po drodze dołączały do nas kolejne furmanki wyładowane manelami i dziećmi. Część kobiet szła obok wozów, modląc się na głos.

Wreszcie dojeżdżamy do Zasmyk. Mama ociera łzy wielkiej radości i niewysłowionej ulgi. „Jesteśmy ocaleni” – mówi do nas, pokonując najgłębsze wzruszenie i dokuczliwy ból serca. Radość opanowuje cały tabor. W kępie drzew na skraju wsi stoi z dubeltówką bosy, może 18-letni wartownik. Dowiadujemy się od niego, że dzisiaj, 31 sierpnia, o świcie, zasmycka samoobrona odniosła zdecydowane zwycięstwo nad dużym zgrupowaniem banderowców, szykujących się do zdobycia Zasmyk. Łatwo teraz domyślamy się, dlaczego nie ma z nami obiecanej zbrojnej eskorty i dlaczego mimo to udało się nam przebyć śmiertelnie niebezpieczną drogę. Banderowcy, przerażeni sromotną klęską, uciekli wraz z cywilną ludnością ukraińską do miejscowości dalej położonych od Zasmyk. Nagła i groźna dla nich wieść lotem błyskawicy obiegła okoliczne wsie, krzyżując w tym dniu bandyckie zamiary wobec ludności polskiej.

Spontanicznie gromadzimy się wszyscy koło przydrożnego krzyża, dziękując Opatrzności za ocalenie, modlimy się za poległego w dzisiejszej bitwie Stasia Romankiewicza z radowickiej jedenastki.

Przybyłe z nami rodziny rozjechały się po Zasmykach do krewnych czy znajomych, gdzie znalazły dach nad głową i życzliwość. Niektórzy udali się do sąsiednich kolonii. My oraz ciocia Bronia z córkami zatrzymaliśmy się u gospodarza Franciszka Wiśniewskiego, nieopodal kościoła. Zaraz po naszym przyjeździe zjawił się ojciec z wujkiem Molendą oraz inni uciekinierzy, ciekawi najświeższych wydarzeń. Znowu byliśmy razem, co sprawiło nam wielką radość. Uniknęliśmy najgorszego. Martwiliśmy się tylko o dziadków i ciocię. Zdziwiłem się bardzo, że ojciec z wujkiem, jako partyzanci, nie przyszli z bronią. Nie śmiałem o nią pytać. Byłem pewny, że zostawili ją na placówce. Później dowiedziałem się, że jeszcze jej nie posiadali. Broń trzeba było zdobywać w boju lub w najlepszym razie kupować u Niemców czy Węgrów za wysoką cenę.

Wieczorem udaliśmy się gromadnie do kościoła, który w pierwszej chwili wydawał mi się pusty. Wewnątrz panował mrok, tylko na głównym ołtarzu pełgały wążle płomyki dwóch świec, ledwie rozjaśniając małą część wnętrza. Po chwili zaczęli się wyłaniać z mroku wierni, klęczący w ławkach i bocznych nawach. Przed wielkim ołtarzem leżało krzyżem dwóch księży. Pochodzili – jak mówiono – z parafii, gdzie banderowcy dokonali masowych mordów ludności polskiej. Słychać było stłumiony szloch kilku kobiet, który chwilami przeradzał się w spazmatyczne łkanie. W pewnym momencie w nawie powstało poruszenie. Z mroku wyłoniło się kilka kobiet wynoszących jakąś omdlałą kobiecinę na zewnątrz. Nastrój w kościele stawał się przygnębiający, nie do zniesienia. Spazmatyczny szloch, teraz już wielu kobiet i dzieci, przejmował lękiem. I tu, w świątyni, czuło się rosnącą rozpacz polskiej ludności i grozę banderowskiego terroru.

Wracaliśmy z kościoła przygnębieni. Ale mimo morza nieszczęść tutaj, w Zasmykach, wydawało się, że krwawa nawałnica przechodzi gdzieś bokiem, oddała się od nas i świta nadzieja na przetrwanie. Z gromadą znajomych Udaliśmy się do stodoły, prowizorycznie wydzielonej na noclegi. Pierwszy raz od wielu tygodni zasnąłem bez dławiącego lęku. Ale noc nie była spokojna. Po północy przybyli do stodoły nowi uciekinierzy. Słyszałem głośnie rozmowy i płacz. Spostrzegłszy nas, kobiety zaczęły głośno i beładnie opowiadać o masakrze gdzieś na północny wschód od Zasmyk. Części ludności udało się uniknąć zagłady. Do rana już nikt nie spał. Wczesnym rankiem wszyscy byliśmy na nogach.

Pierwszy września w samo południe odbył się pogrzeb Stasia Romankiewicza, poległego we wsi Gruszówka. Na uroczystość przybyły tłumy ludzi. Przecisnąłem się do wnętrza kościoła i stanąłem blisko katafalku, na którym spoczywała trumna ze zwłokami Stasia. Stali przy niej z bronią jego bojowi towarzysze, a obok liczna rodzina, sąsiedzi, znajomi. Po egzekwiach ksiądz Michał Żukowski wygłosił płomienne przemówienie, które wierni głęboko przeżyli, pewnie jak nigdy dotychczas. Szloch wstrząsał tłumem. Ksiądz, były misjonarz z Podola, przejawiał tutaj najwspanialszy kunszt oratorski. Oznajmił, że dzisiaj uderzy dzwon, ukryty i milczący od 17 września 1939. Obwieści on powstanie skrawka wolnej, niepodległej Polski – Rzeczypospolitej Zasmyckiej, za którą oddał swoje młode życie Stasio. I oto odezwał się dzwon. Tłum zakał – płakały kobiety, starcy, dzieci i żołnierze. Ksiądz zęgnął Staszka najpiękniejszymi słowami, stojąc na nasypie i górując nad otaczającymi go ludźmi. W pewnym momencie ktoś krzyknął: „Ukraińcy!” Tłum zaszamotał się, część ludzi rzuciła się do cmentarnej bramy, inni w kierunku przeciwnym, próbując jednocześnie zorientować, się w sytuacji. Honorowa eskorta

ładowała broń, trzaskając zamkami. Ale ksiądz nie ruszył się z miejsca, stojąc wyniosły na nasypie. Zaraz się okazało, że w pobliskiej olszynie przechodził nasz patrol, ubezpieczający pogrzeb.

Mimo głębokich, bolesnych wzruszeń, z cmentarza wracaliśmy podniesieni na duchu, z krzepiącą wiarą w możliwość obrony i przetrwania. Wielkie nadzieje zaczęliśmy pokładać w naszej samoobronie. Nie mylił się tym razem ks. Michał Żukowski – na kilka miesięcy Zasmyki stały się skrawkiem wolnej Polski, chociaż wiele jeszcze krwi popłynęło wokół, a na zasmyckim cmentarzu przybyły setki mogił i krzyży. Staś Romankiewicz, żołnierz z naszej wsi, był pierwszym w zasmyckiej samoobronie, który poległ w otwartym boju za ten skrawek wolnej ziemi.

Pierwsze dni w Zasmykach dostarczyły nam wiele silnych przeżyć. Codziennie tłum uciekinierów gromadził się przed kościołem, gdzie docierały najczęściej tragiczne wieści o losach polskiej ludności okolicznych wsi. Ogromne zainteresowanie wzbudzali żołnierze z samoobrony, zwłaszcza nasi znajomi, z których byliśmy dumni, wiążąc z nimi nadzieje na przetrwanie. Okryci już wówczas legendą dowódcy – por. „Jastrząb” i por. „Sokół” – nie schodzili z ust, mówiono o nich z najwyższym podziwem, szacunkiem i uwielbieniem. Zdawano sobie sprawę, że dzięki ich dowódczym umiejętnościom, odwadze i determinacji zasmycka samoobrona odniosła zdecydowane zwycięstwo nad banderowcami w Gruszówce.

Rozgromienie banderowskich sotni w Gruszówce spowodowało z kolei głęboki szok u upowców i cywilnej ludności ukraińskiej okolicznych wsi, która z lękiem szeptała o pogromie swoich strzelców, przekonując się, że rzezie bezbronnej ludności nie ujdą płazem. Pochówki zabitych banderowców odbywały się bez pompy i rozgłosu, by nie siać defetyzmu i niechęci do atamanów OUN-UPA. Dla ludności polskiej, wątpiącej dotychczas w możliwość przetrwania, zwycięstwo w Gruszówce było źródłem nadziei i otuchy.

Dnia 3 września, o zmroku, do zasmyckiego kościoła wszedł w pełnym uzbrojeniu zwarty pododdział samoobrony. Wierni, zgromadzeni na Nieszporach, machinalnie ustąpili miejsc, rozchodząc się na boki. Oddział zbliżył się do wielkiego ołtarza. Padła ściszona komenda: „Spocznij!” Szczęknęła broń o posadzkę. Z zakrytym wyszedł ks. M. Żukowski, który odmówił z żołnierzami „Ojciec nasz” i „Zdrowaś Mario”, a następnie pobłogosławił ich. Padła znowu przyciszona komenda – „W tył zwrot, do wyjścia!”. Pododdział opuścił kościół. Wyszliśmy tłumnie na dwór, ujrzelśmy już tylko znikające w mroku sylwetki żołnierzy. Tak zapamiętałem fragment dramatycznej, ale i zwycięskiej kolejnej akcji naszej samoobrony. Pododdział pod dowództwem por. „Jastrzębia” i por. „Sokoła” wymaszerował tamtego wieczoru, by ratować przed zagładą ludność polską Osiecznika, odległego od Zasmyk o 20 kilometrów oraz zbiegłej tam ludności z sąsiedniego Werbiczna, ocalałej z rzezi, której dokonali tam dzień wcześniej banderowcy.

W godzinach popołudniowych 4 września kolumna wozów dotarła do Zasmyk. Większość ewakuowanych zatrzymała się w kościele. Ludzie przedstawiali sobą okropny widok: byli krańcowo wyczerpani fizycznie i psychicznie, twarze mieli pokryte grubą warstwą kurzu i krwi z potem i łzami. W kościele padali twarzą na posadzkę, dziękując Opatrzności za ocalenie.

Nie wrócił z wyprawy Tadeusz Golik „Gwiazda”, nasz sąsiad. Krążyły różne przypuszczenia o jego losie. Nie chciano wierzyć, że nie żyje. Został na trasie również Franciszek Siatka, mieszkaniec Osiecznika.

Niedługo cieszyliśmy się, jeżeli w ogóle wówczas można było żywić takie uczucia, uratowaniem kilkudziesięciu rodzin z Osiecznika. Już następnego dnia wstrząsnęła ludnością Zasmyk wieść o wymordowaniu mieszkańców polskiej wsi Budy Ossowskie. Przyniosła ją kobieta z dwojgiem dzieci, które cudem ocalały z rzezi i dotarły do Zasmyk. „Jastrząb” natychmiast wyruszył z pododdziałem, by ratować ocalałych mieszkańców wsi, w której w latach 1941-42 uczył na tajnych kompletach. Niestety, gdy 5 września przybył tam ze swoim pododdziałem, zastał widok zmasakrowanych ciał. W polach i łąkach odszukano zaledwie kilka dorosłych osób oraz kilkoro dzieci, które zdołały się ukryć przed bandytami. Część mieszkańców uratowała się ucieczką do Włodzimierza i Turzyska.

Szybko wyczerpały się nasze zapasy żywności i paszy dla koni. Kilka razy chodziłem do partyzanckiej kuchni po strawę: bigos, krupnik na mięsie i chleb, ale wkrótce przestano wydawać posiłki ludności cywilnej. Trzeba było ograniczyć się do tego, co przywieźliśmy z domu. Dnia 6 września wybraliśmy się z siostrą do najbliższych opuszczonych poukraińskich zabudowań w Gruszówce, gdzie znaleźliśmy pełne zapole dorodnego owsa, rozchwytywanego przez uciekinierów. Związałem kilka snopków dla siebie i siostry i ruszyliśmy z powrotem. Po kilkudziesięciu krokach okazało się, że ładunki były ponad nasze siły. Zostawiliśmy część przy drodze, resztę dodźwigaliśmy z największym wysiłkiem. Obróciliśmy kilka razy. W ten sposób zgromadziliśmy zapas paszy na kilkanaście dni. Gdy po morderczym wysiłku przyszliśmy do mamy, zmęczeni i okropnie głodni, zastaliśmy ją z cicią Bronią pogrążone w smutku i płaczące. Powiedziały nam, że wszyscy Polacy, którzy pozostali w Radowiczach, zostali wymordowani.

Nad Zasmykami i sąsiednimi koloniami zawisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Za lityńskim lasem czają się banderowcy. Mogą zaatakować w każdej godzinie. Do późna w nocy czyniliśmy przygotowania

do ucieczki, nie wiedząc jeszcze dokąd. Domyślaliśmy się, że może to być Kowel. Przed udaniem się na spoczynek wyszliśmy na podwórze, by posłuchać, czy coś złego już się nie dzieje. Była gwiazdna noc i wokół panowała kompletna, złowroga cisza. Na wysuniętych pozycjach czuwalili nasi partyzanci, liczący wówczas ponad stu żołnierzy, pod dowództwem mądrych, odważnych oficerów.

Noc minęła na wyczekiwaniu w napięciu. Wczesnym rankiem ludzie zakrzętnęli się w obejściach, wsłuchując się w poranną ciszę i wpatrując w najbliższy teren. Wyprowadzali krowy i konie na pobliskie łąki. Ale spokojny poranek nie trwał długo. Gdy słońce wzniosło się ponad olszyny, od strony Piórkowicz rozległy się dalekie serie karabinów maszynowych i wybuchy. Na horyzoncie wzbily się w niebo czarne słupy dymu. Oceniono, że bój toczy się w Radowiczach. Mniej odporni nerwowo zaprzęgli konie do wozów, by w razie czego ująć się szybciej przed atakiem. Inni, nie czekając, jechali w stronę Kowla. Około południa przyszła pocieszająca wiadomość, że w Radowiczach biją się Niemcy z bulbowcami. Późnym popołudniem bój ucichł.

Następnego dnia wcześniej rano obudziła mnie mama, prawie krzyząc:

– Wstawaj, szybko ubieraj się! Niemcy się wycofali z Radowicz. Mogą zaraz być tutaj bulbowcy!

Zerwałem się na równe nogi. Przerażony tą wiadomością ubierałem się dygocąc. Wszystko leciało mi z rąk. Ciocia Bronia już wynosiła na wóz swoje rzeczy. Chwyciłem od mamy toból z pościelą i pobiegłem do wozu. Trzęsącymi się rękami zaprzęgałem klacz. W kilkanaście minut byliśmy gotowi do ucieczki. Bolek Wiśniewski, syn gospodarza, który tylko co wrócił z nocnego dyżuru, wyjaśnił, że uciekać z Zasmuk będziemy na jego polecenie. Teraz należy być w pogotowiu przy swoich wozach. Podkarmiając klacz czekaliśmy na sygnał do wyjazdu. W sąsiednich zabudowaniach, u Śladowskich, widać było również nerwową bieraninę. Mężczyźni z samoobrony, jak wczoraj, kierowali się do centrum wsi obok kościoła, by w razie napadu wspomóc naszych partyzantów. Atmosfera największego zagrożenia coraz bardziej udzielała się ludności.

Około godz. 9-10 nagle od strony Piórkowicz rozległa się gęsta strzelanina, znacznie głośniejsza, a więc bliższa niż wczoraj. Grały karabiny maszynowe, coraz częściej rozlegały się wybuchy granatów czy pocisków artyleryjskich. Za lityńskim lasem wzbilo się w niebo kilka słupów czarnego dymu. Bój przybierał na sile. Ludność Zasmuk i okolicznych kolonii znowu ogarniała trwoga. Byliśmy przekonani, że teraz to już na pewno walczą nasi partyzanci, powstrzymując atak bulbowców. I znowu, jak poprzedniego dnia, ludność gromadzi się na podwórzach i prowadzącej przez wieś drodze, wsłuchując się w odgłosy tajemniczej bitwy. Bój jednak nie przybliżył się, a wprost przeciwnie – oddala, chociaż nie słabnie. Zaczyna bić artyleria, którą rozpoznają doświadczeni w wojennym rzemiośle, twierdząc, że z całą pewnością jedną ze stron boju są Niemcy. Rozumują: jeżeli tak długo nasi się trzymają, to pewnie wytrwają i obronią Zasmuki. A jeżeli tam z banderowcami walczą Niemcy, to na pewno poradzą sobie z nimi. W południe goniec potwierdził drugie przypuszczenie, co uspokoiło znacznie ludność. Niemiecki batalion ekspedycyjny, udający się po żywność dla kowelskiego garnizonu tym razem skutecznie zaatakował banderowców w rejonie Radowicz i Tuliczowa. Trzy wozy pancerne rozbiły najpierw sotnię UPA, która maszerowała już, by obejść Zasmuki od północy i uniemożliwić ludności polskiej ucieczkę do Kowla. Po kilkugodzinnej bitwie Niemcy rozproszyli i wyparli blisko dwutysięczne zgrupowanie UPA w lasy Świniażyńskie, a sami pozostali na zajętych terenach – w Radowiczach, Tuliczowie i Kupiczowie. Niepokoili zasmuczanie tylko myśl, czy następnego dnia Niemcy nie zaatakują z kolei Zasmuk, ale obawy nie potwierdziły się.

Zaraz po naszej ucieczce Radowicz, 31 sierpnia, dziadkowie zostali u siebie, doglądając również naszego obejścia i inwentarza. Babcia doiła krowy, które same rano wychodziły na pastwisko, a wieczorem wracały na podwórze. Karmiła również Łyska strzegącego wiernie gospodarstwa. Dnia 5 września, idąc do nas, zauważyła chodzących po naszym podwórzu kilku uzbrojonych mężczyzn. Tknięta złym przeczuciem, zawróciła z drogi. W domu spotkała już wystraszonego Aleksandra, który dopiero co przybiegł z groźną wiadomością: we wsi rozpoczęły się morderstwa ludności polskiej. Błagał, by natychmiast uciekać z domu, bo lada chwila mogą przyjść do dziadków. Poradził, by ukryć się w sąsiednim lesie, w gęstych tarninach. Obiecał, że będzie dziadków odwiedzał nocą i przynosił pożywienie. Liczył, że wkrótce niebezpieczeństwo minie i będzie można wrócić na gospodarstwo.

Dziadkowie posłuchali życzliwej rady. Babcia bezzwłocznie udała się do cioci Marysi. Spotkała ją w połowie drogi, biegnącą już z Alinką do dziadków, gdyż została ostrzeżona przez życzliwą sąsiadkę – Ukrainkę. Zabrawszy trochę pościeli i żywności, wszyscy czworo pobiegli do pobliskiego lasu, gdzie ukryli się w gęstej tarninie. Dwie godziny później usłyszeli strzał od strony zabudowań cioci Marysi, obok których mieszkała jej teściowa, staruszka Jadwiga Stefanowiczowa. Tego dnia, tj. 5 września, wymordowano wszystkich Polaków, którzy zlekceważyli niebezpieczeństwo i zostali w Radowiczach. Wincenty Latoś i syn o tym samym imieniu zostali zakłuci widłami w stodole, gdzie się ukryli w snopkach żyta. Dwie staruszki, Karolina Isańska i Anastazja Tokarska – matki nauczycielskiej pary małżeńskiej – zostały zabite pałami. W centrum wsi esbiści UPA zastrzelili Łukaszewicza, jego żonę i – po uprzednim zgwałceniu – córkę z rocznym dzieckiem. Zostali zarąbani siekierami Henryk Skrzat i jego bratanica Zofia Skrzat oraz Marcelina Daszkiewicz. Jej mąż, Roman, wyruszył 8 września

z Zasmyk do Radowicz, by się czegoś o niej dowiedzieć. Na skraju lityńskiego lasu został schwytyany przez bulbowców i zamordowany. Zginął również z ich rąk staruszek Franciszek Iskra.

Ukryci w tarninach dziadkowie z ciotką Marysią i Alinką, ujrzeni przez konary drzew, już późnym wieczorem, promienistą lunę płonących zabudowań. Aleksander, poczciwy Ukrainiec, przyniósł im ciepłej strawy i bochenek chleba. Powiedział, że cały dzień trwały przeszukiwania polskich obejść w ramach tzw. „akcji oczyszczającej”. Wykryci Polacy byli na miejscu natychmiast mordowani.

Dzień 6 września wstał pogodny i ciepły, jak poprzedni. Aleksander zjawił się dopiero późnym wieczorem z gorącą strawą, chlebem i wodą. Zdradzał jednak duży niepokój i przygnębienie. Poinformował, że we wsi jest dużo banderowców, którzy szykują się do ataku na Zasmyki. Są pewni zwycięstwa. W dalszym ciągu przeszukują polskie obejścia, wykopują ukryte rzeczy, przeczesują krzewy, zagajniki, mordują schwytyanych. Wokół lasu krążą patrole. W tych warunkach opuszczenie kryjówki jest bardzo ryzykowne, ale i w tarninach nie jest bezpiecznie. Jemu zagrozili śmiercią, jeżeli nie powie, gdzie ukryli się dziadkowie. Z żalem przyznał, że już nie przyjdzie, bo jest śledzony. Naszych ogarnęło głębokie zwątpienie w możliwość ocalenia. Długo w nocy modlili się szeptem, szukając w ten sposób ratunku.

Dnia 7 września, wczesnym rankiem, od strony Turzyska rozległy się pojedyncze strzały i serie z broni maszynowej, które stawały się coraz głośniejsze i bliższe. Ukryci w tarninach byli przekonani, że banderowcy przeczesują las. Po kilku minutach spostrzegli żołnierzy w niemieckich mundurach, którzy strzelając przed siebie zbliżali się do kryjówki. Zauważyli ukrytych i zaczęli strzelać ponad głowami i krzytać: „Raus!” Nasi padli na kolana przed wymierzonymi w nich lufami. Dziadzio klęcząc błagał o litość, używając kilku niemieckich słów, usiłował tłumaczyć, że są zbiegami ukrywającymi się przed bandytami. Jeden z żołnierzy odezwał się po polsku. Kazał wstać, zabrać rzeczy, zawiesić na kiju białą szmatę i udać się w kierunku Turzyska. Na skraju lasu zostali zatrzymani przez załogę ckm. Niemcy kazali położyć się w rowie i czekać. Tymczasem w Radowiczach rozgorzał bój. Późnym popołudniem wszystko ucichło. O zmierzchu od strony Radowicz pojawiły się ubezpieczone wozy z rannymi i zabitymi. Kompania Wehrmachtu wycofywała się do Turzyska. Nasi ruszyli z Niemcami. Późnym wieczorem dotarli do stacji kolejowej w Turzysku. Zatrzymali się na noc obok mieszkania wdowy Ciasiowej, której mąż przed wojną prowadził na stacji restaurację. Jego brata z Osiecznika banderowcy ukrzyżowali na ścianie domu. Cały teren przy stacji był teraz zajęty przez uciekinierów, koczujących tutaj od kilkunastu dni.

10 września ciotka Marysia, korzystając z bezpieczniejszej już drogi, strzeżonej teraz przez Niemców, udała się z Alinką do Radowicz, by dowiedzieć się, co naprawdę stało się z teściową Stefanowiczową. Miała nadzieję, że staruszka żyje. Niestety, na rabacie kwiatowej znalazła jej zwłoki, napoczęte już przez wrony i zgłodniałe psy i koty. W pośpiechu pochowała staruszkę w płytkiej mogile. W tym czasie Alinką, dygocąc ze strachu, rozglądała się czy ktoś się nie zbliża. O zmroku opuściły obejście i późnym wieczorem – ze znaną w pobliżu własną krową – wróciły bez przeszkód do Turzyska.

Dnia 12 września po południu dziadkowie przyjechali do Zasmyk swoim ocalałym z pożaru wozem i klaczą, którą zaopiekował się poczciwy Aleksander. Przybycie dziadków sprawiło nam wielką radość. Odtąd dzieliliśmy z nimi los do końca wojny. Ciotka Marysia na kilka miesięcy została z Alinką u znajomych w Turzysku.

Obecność Niemców w kilku wsiach położonych na południe od Zasmyk, była skutecznym zabezpieczeniem południowej flanki zasmyckiej bazy samoobrony przed banderowcami. W części gospodarstw na obrzeżach połowego garnizonu Niemcy zezwolili ludności na zbiór plonów i jesienne siewy. Z terenów zasmyckiej bazy ludność masowo ruszyła do swoich zdewastowanych lub spopielenych gospodarstw. Dnia 15 września, w słoneczne popołudnie i my wyruszyliśmy gromadnie do Radowicz: ja z dziadkami, ciotka Bronia z córkami oraz wielu innych gospodarzy. Na skraju wsi mijaliśmy wyniosły kopiec z wysokim krzyżem – symbolem samostijnej Ukrainy, który akurat ścinali własowcy, waląc po nim zawzięcie toporami. Krzyż runął kilka metrów za nami, wzbijając tumany kurzu. Ze względów bezpieczeństwa postanowiliśmy zatrzymać się w ocalałych zabudowaniach ciotki Broni, położonych najbliżej niemieckiego bunkra. Pożerany ciekawością zostawiłem jadących i puściłem się na przelaj do naszego obejścia. Na chwilę przystanęłem przy zgliszczach zabudowań dziadków, a następnie ruszyłem dalej. Idąc przez łąkę natknąłem się na kilku ukraińskich pastuchów, siedzących wokół ogniska. Gość do nich zagadnąłem, ale oni ponuro milczeli. Żaden nie spojrzał mi w oczy. Gdy spostrzegłem leżące obok nich grube pały, machinalnie odskoczyłem od ogniska i ruszyłem pędem przed siebie. Biegłem ile sił w nogach. Zatrzymałem się dopiero na naszym podwórzu, gdzie, jak spod ziemi, obok mnie znalazł się Łysek. Uradowany skoczył na mnie ze skowytem, lizał mi ręce, twarz, to znowu skomlał i biegał wokół jak szalony. Towarzyszył mi po obejściu, szedł przy nodze, ocierając się o mnie, co chwilę spoglądał mi w oczy. Bardzo zmizerniał, miał zapadnięte boki, widocznie cierpiął głód.

Obejście przedstawiało opłakany widok: w domu brakowało drzwi, mebli, okien. Bacznie rozglądając się, z lękiem opuściłem podwórze. Łysek usiadł przy furcie i został, jak dwa tygodnie temu, gdyśmy opuszczali dom. Nie pomogły moje nawoływania. Patrzył w moją stronę, a ja z duszą na ramieniu, ponaglany strachem, szybko opuściłem obejście. Migiem znalazłem się w gęstym zagajniku, posadzonym kilkanaście lat temu za administracji ojca. Przedzierając się przez gąszcz, minąłem szalaz Joska, obok którego spędziliśmy z mamą i siostrą ostatnią noc w Radowiczach. Po wyjściu na otwartą przestrzeń stanąłem jak wryty: może 50 metrów przede mną, na niewielkim wzniesieniu, stało kilka haubic, skierowanych lufami w niedaleki las. Przy nich uwijali się żołnierze w feldgrau. Obok stał oficer, lornetując teren pod lasem, gdzie kiedyś stała nasza gajówka. Kiwnął na mnie, wrzeszcząc: „Schnell!”. Na drżących nogach podbiegłem do oficera, ale on bez słowa wskazał mi szpicrutą kierunek, w którym pobiegłem. Za moimi plecami padła komenda: „Feuer!”. Kilka haubic kolejno oddało ogłuszające strzały.

Po kilku minutach znalazłem się w obejściu ciotki Broni. Zabudowania ocalały i były jeszcze w całkiem dobrym stanie. Mogliśmy więc wygodnie zamieszkać i pracować w gospodarstwie nad zgromadzeniem żywności na zimę i obsiać choć część pola oziminą.

Myśl o głodującym Łysku nie dawała mi spokoju. Postanowiłem pod wieczór zanieść mu coś do jedzenia, choćby kromkę chleba, który przywieźliśmy z Zasmyk. Po pracy zwinąłem w worek trochę „żarnowca” i ruszyłem w drogę, mówiąc ciotce, że idę niedaleko po ulegąłki. Słońce chyliło się już ku zachodowi, opadało za czarną ścianę lasu, oświetlając resztkami promieni wzgórze, na którym dominował nad okolicą tajemniczy niemiecki bunkier, utrzymując pod kontrolą okoliczne pola i łąki. Gdy znalazłem się na wzniesieniu 500 metrów od bunkra, coś bzyknęło mi koło głowy i rozległ się pojedynczy karabinowy strzał. Za nim drugi, trzeci i kolejne bzyknięcia. Strzelał bunkier. Zbaraniałem, stanąłem, a po chwili padłem w przydrożną bruzdę i zacząłem czołgać się z powrotem. Przerazona ciotka wybiegła przed zabudowania krzycząc, bym nie wstawał, tylko czołgał się aż do podwórza. Tak skończyła się wyprawa do Łyska. Więcej już go nie widziałem.

Strzały z bunkra przypomniały nam o obowiązku wyjazdu na nocleg do centrum wsi, gdzie od kilku już nocy zjeżdżała się ludność polska. Migiem zaprzęgliśmy do wozu konie i kłusem ruszyliśmy do wsi, już sporo po godzinie policyjnej. Gdy wjeżdżaliśmy między zabudowania, robiliśmy już szaro. Wartownik ryknął na nas, że przyjeżdżamy za późno. W jednej ze stodół znaleźliśmy jeszcze wolne miejsca do spania. Szybko ułożyliśmy się do snu, kładąc się pokotem na rozesłanej słomie. Ale noc mieliśmy koszmarną. Obok stodoły do późna rozlegały się krzyki żołnierzy, chichoty i piski dziewcząt. Do stodoły kilka razy wchodził żołnierz, świecąc latarkami w oczy. Podobno szukali podejrzanych o współpracę z bandami. Po północy odezwała się artyleria. Wczesnym rankiem rozespani wracaliśmy do swoich gospodarstw, by kontynuować pilne prace polowe. Po kilku dniach część zgromadzonych płodów wywieźliśmy do Zasmyk. Niebawem wróciliśmy, by kontynuować prace.

Któregoś dnia pojechałem wozem z siostrą na nasze pole. Po drodze zatrzymaliśmy się przy świeżo usypanej zbiorowej mogile, w której zostali pochowani banderowcy, zabici 7 września w pierwszej przypadkowej bitwie z Niemcami. Obok mogiły przebiegała wzdłuż naszego pola linia płytkich, naprędcę wykopanych do pozycji leżącej okopów. Upowcy, przygotowani do zaatakowania Zasmyk, musieli nagle odwrócić front o 180 stopni, co na pewno wprowadziło w ich szeregach wiele zamieszania. Mając jednak kilkakrotną przewagę liczebną i dogodny terenowy położenie, nie wpuścili Niemców do Radowicz. Na banderowskich pozycjach leżało sporo łusek i granatów moździerzowych, zdarte i poprzestrzelane obuwie, jakaś cywilna odzież. Po obejrzeniu części bitewnego pola, które do dzisiaj Ukraińcy nazywają „Budziszowym Polem”, zabraliśmy się z siostrą do kopania naszych ziemniaków. Nie upłynęło kilku minut, jak spostrzegliśmy idącego do nas Niemca. Przerwaliśmy pracę, z lękiem obserwując przybysza. Ten, uśmiechając się, kazał nam wsiąść na wóz, chwycił klacz za uzdę i wyprowadził z pola na dróżkę, następnie gestem kazał nam odjechać. Wróciliśmy z niczym. Okazało się, że nasze ziemniaki znajdowały się w strefie przeznaczony dla Niemców i wkrótce zostały wykopane przez żołnierzy i wywiezione do kowelskiego garnizonu.

W zapasie mieliśmy jeszcze jedno pole ziemniaków na kolonii Żuków, znacznie odległej od centrum wsi, a więc i od strefy bezpieczeństwa. Stąd wyprawa po nie była zbyt ryzykowna. Zwlekaliśmy więc z kopaniem tam ziemniaków, pracując nad zbiorem okopowych i siewem oziminy u ciotki Broni. Dopiero 28 września zdecydowaliśmy się rozpocząć wykopki na Żukowie. Po południu wybraliśmy się z babcią i Danusią na pole, które ojciec kupił kilka lat przed wojną. Dla nas i wielu innych mieszkańców Radowicz było to teraz miejsce szczególne, bo pół roku temu, 10 kwietnia w nocy, zostali tam zamordowani przez UPA trzej nasi sąsiedzi – Leśniewscy: ojciec Marceli oraz synowie Antoni i Eugeniusz. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że nasze pojawienie się tam będzie zauważone przez miejscowych Ukraińców i potraktowane pewnie jako zuchwalstwo, gdyż pole znajdowało się daleko poza strefą jako takiego bezpieczeństwa dla ludności polskiej. Z miejsca zabraliśmy się do kopania ziemniaków i zsypywania na przymę. Bacznie i z lękiem obserwowaliśmy równinny wokół teren i rząd ukraińskich zabudowań, odległych od nas kilkaset metrów. Pracowaliśmy zawzięcie i ku naszemu

zadowoleniu rosła przyzma ziemniaków. Zajęci pracą nawet nie zauważyliśmy, że zapadał już zmierzch, nadciągnęły chmury i zaczął się deszcz. Niosąc ziemniaki na przyzme nagle spostrzegłem, że w naszym kierunku idą dwaj uzbrojeni cywile. Nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, że są to banderowcy. Rzuciliśmy się do panicznej ucieczki, porzuciwszy motyki i kosze. Biegając czekałem tylko, kiedy padną strzały, ale banderowcy bali się widocznie alarmować garnizon i ściągnąć na siebie ogień artylerii. Wpadliśmy na podwórze wystraszeni, zziębnięci i zrani potę. Zanim doszliśmy do siebie i opowiedzieliśmy, co zaszło, zaczęło się na dobre ściemniać. Zaczął padać rześisty deszcz. Wyjazd na nocleg do garnizonu, aczkolwiek w tym przypadku zbawienny, okazał się już spóźniony i ryzykowny. Zdecydowaliśmy się pozostać na noc na miejscu. Zastanawialiśmy się, czy nocować w jednym czy w różnych budynkach. W końcu postanowiliśmy pozostać w domu, gdzie były sztaby przy drzwiach i mocne okiennice. Umówiliśmy się, że w razie czego będziemy uciekać przez okna do sadu w gęste krzewy malin i porzeczek. Przy pełgającym ogarku odmówiliśmy półszeptem naszą codzienną modlitwę.

Kłęcząc poczułem się źle, robiło mi się zimno i gorąco. Miałem pewnie podwyższoną temperaturę. Dziadzio poświęcił na mnie ogarkiem i orzekł, że to wietrzna ospa, bo na ciele pojawiła się wysypka. Wypiłem gorącej „herbaty” z malinowych łądyg i przykryty jakimś łachem szybko usnąłem. Pewnie było już po północy, gdy obudziły nas wszystkich głośne wybuchy – gdzieś niedaleko rwały się pociski, długimi seriami były cekaemy, najgłośniej z pobliskiego bunkra. Przywarliśmy do szpar w okiennicach. Nad bunkrem i wsią wzbijały się w niebo czerwone rakiety, oświetlając nasze podwórze i pobliskie pola. Wpadliśmy w nerwowy szok, spodziewając się za chwilę najgorszego. Powtarzałem płacząc: dlaczego, dlaczego zostaliśmy tutaj na noc!? Siostra i kuzynki zanosily się płaczem, dygocąc jak liście osiki. Największe opanowanie wykazała babcia. Zakazała nam lamentować i odzywać się. Dzieciom poleciła wejść do piwnicy w kuchni pod podłogą. Siedzieliśmy tam chwilę trzęsąc się jak w febrze. Nagle uświadomiłem sobie, że w razie podpalenia domu, wszyscy w piwnicy spłonimy. Ze zdwojoną energią wygramoliliśmy się z tej niebezpiecznej kryjówki. Podbiegliśmy do okna, które wychodziło w krzewy, by w razie czego otworzyć okiennice i znaleźć się w gęstym sadzie. Ale strzały nagle ucichły, słyhać było tylko szum wiatru, plusk deszczu i łomot gałęzi po okiennicach i ścianach. Po dłuższym nasłuchiowaniu ułożyliśmy się ponownie do snu.

Kiedy się obudziłem słońce było już wysoko. Wszyscy krzątali się w obejściu. Wyszedłem na podwórze, gdzie stały babcia z cicią, obserwując z zaniepokojeniem dwóch żołnierzy w feldgrau idących w naszą stronę. Zawsze opanowana babcia zdecydowała, że sama zostanie na podwórzu, a reszta ukryje się w różnych zakamarkach, co też natychmiast uczyniliśmy. Żołnierze, przystając i rozglądając się: weszli powoli na podwórze. Okazali się Litwinami z pododdziału wchodzącego w skład niemieckiego garnizonu. Mówili po polsku. Zażądali jajek i kur, ale musieli obejść się smakiem, bo po kurach nie było już śladu – rozkradli je Ukraińcy zaraz po ucieczce stąd polskich gospodarzy. Poinformowali babcie, że nocną strzelaninę spowodowali jacyś ludzie, zdążający do garnizonu. Nic więcej o tym nie wiedzieli.

Wystraszeni porządnie wczorajszą dramatyczną ucieczką z pola oraz nocną strzelaniną postanowiliśmy niezwłocznie opuścić Radowicze. Wczesnym popołudniem, gdy byliśmy gotowi do odjazdu, dziadzio polecił mi, abym udał się do sąsiadów i zapytał, kiedy oni zamierzają wracać do Zasmuk. Pobiegłem najpierw do najbliższych zabudowań Szewczyków, ale nie zastałem tam już nikogo. Ruszyłem do Żołnika, którego obejście znajdowało się za wzniesieniem, na samym skraju Polskiej Kolonii. Ale tam również nie było żywej duszy, a wszystko wskazywało, że domownicy musieli je tylko co i nagle opuścić: na płycie kuchennej stały garnki ze strawą w palenisku żarzyły się jeszcze węgle, na ławie leżała pozostawiona odzież. Widok ten bardzo mnie zaniepokoił. Ruszyłem w te pędy z powrotem. Na podwórzu zastałem naszego sąsiada i dalekiego krewnego ojca, Piotra Budzisz. Był bardzo przejęty tym, co przed chwilą zobaczyłem, a zwłaszcza zniknięciem kilku osób i jego syna Jasia, mojego rówieśnika, pomagającego sąsiadom przy młócce. Ruszyliśmy wszyscy bez zwłoki w drogę, niepokojąc się tym, co zaszło.

Kiedy furmanki wjechały na wzniesienie spostrzegliśmy, że w naszym kierunku od strony lasu idzie ktoś powoli w koszuli zbroszonej krwią, zataczając się. Któraś z kobiet krzyknęła, że to pewnie pijany Litwin, który zaraz będzie się awanturował. Dziadzio podciął konie i wszystkie zaprzęgi ruszyły kłusem. Ale za moment sąsiad krzyknął rozpaczliwie:

– Boże, to Jasio!

Zeskoczył z wozu, chwycił na ręce zbroszonego we krwi Jasia i ułożył go, już nieprzytomnego, na wozie. Przerażeni tym widokiem ruszyliśmy co koń wyskoczy do Zasmuk, gdzie udzielono Jasiowi pierwszej pomocy. Następnego dnia Jasio znalazł się w szpitalu w Kowlu. Po dwóch tygodniach wrócił do Zasmuk na rekonwalescencję z kilkoma ranami – przebitym płucem i pociętą skronią. Od niego dowiedzieliśmy się o zbrodni. Tamtego dnia, 29 września, trzech bulbowców w niemieckich mundurach zabralo z dwóch zabudowań dziewięć osób, tłumacząc im po niemiecku i ukraińsku, że odstawią ich do Turzyska celem przeprowadzenia dochodzenia. Drabiniastym wozem w parę koni, wyprzężo-

nych z kieratu, bandyci powieźli wszystkich polną drogą do traktu. Gdy jednak wóz skręcił w stronę lasu, a nie do Turzyska, więźni nie mieli wątpliwości, że są w rękach banderowców i czeka ich śmierć. Gdyby w tej chwili wszyscy rzucili się do ucieczki, wielu by się uratowało, ale nikt z nich nie wpadł na taki pomysł. Sparaliżowani Stochem zaczęli się modlić – odmawiać Różaniec, który miała przy sobie Kuźmińska. Wkrótce wóz zatrzymał się w gęstych krzewach. Dwóch bandytów pilnowało ofiar, a trzeci pojedynczo wyprowadzał je nieopodal i mordował kolbą i bagnietem osadzonym na karabinie. Po zamordowaniu którejś z ofiar wrócił klnąc, bo złamał kolbę. Wymieniwszy karabin, zabrał Zosię Żołnik. W krzewach kazał jej rozebrać się, a sam odstawiwszy karabin, odpiął pas z ładownicami, zamierzając najwidoczniej zgwałcić ofiarę. Zosia wykorzystawszy chwilę nieuwagi oprawcy, rzuciła się do ucieczki. Banderowiec po chwili strzelił, ale chybił, a Zosia w okamgnieniu skryła się w gęstej leszczynie. Oprawca klnąc wrócił po następną ofiarę – Jasia. Jasio, prowadzony obok leżących ciał, nagle poczuł potworny ból w plecach i stracił przytomność. Bandyta zadał mu jeszcze kilka ciosów, raniąc skroń. Pewnie w obawie, by nie uszkodzić karabinu, zadawał ciosy słabsze i nie przebił czaszki. Po niedługim czasie Jasio odzyskał częściowo przytomność i – wiedziony cudownym instynktem życia, dotarł z największym napięciem sił do Kolonii, pokonując co najmniej dwa kilometry drogi. Zosia w stanie silnego szoku przebiegła 15 kilometrów i znalazła się w zasmyckiej bazie samoobrony. Biegając przez las spotkała ciocię Marysię z Alinką, które – ostrzeżone przez sąsiadkę Ukrainkę – uciekały do niemieckiego garnizonu w Turzysku. Jak się wkrótce okazało, tego dnia miała miejsce zorganizowana akcja UPA przeciwko ludności polskiej pracującej w swoich gospodarstwach na obrzeżach niemieckiego polowego garnizonu.

Był to nasz ostatni wyjazd do Radowicz w tragicznym 1943 roku. Wróciliśmy tutaj na kilka dni rok później, mając za sobą dramatyczny okres tułaczki po przesiąkniętym krwią i strawionym pożogą Wołyniu. Na usilną prośbę rodzin pomordowanych komendant garnizonu wysłał dla ubezpieczenia pluton żołnierzy, umożliwiając zabranie z lasu już rozkładających się zwłok z licznymi oznakami znęcania się nad ofiarami. Pochowano wszystkich w zbiorowej mogile na zasmyckim cmentarzu.

W połowie października pochowano również zamordowanych 22 sierpnia przez UPA w Gruszówce, a wśród nich i mieszkańców Radowicz. Zwłoki ich odnaleziono w dość osobliwy sposób. Bronisław Kulakowski wraz z ojcem i bratem znaleźli się w zasmyckiej samoobronie już w połowie sierpnia. Przeczuli, że matka, która jechała ich odwiedzić, podzieliła los pozostałych osób, na co wskazywały odnalezione w lesie, po bitwie 31 sierpnia, konie i wozy z rzeczami należącymi do zaginionych. Zaginięcie matki, które równało się jej śmierci, szczególnie boleśnie przeżywał Bronisław. W połowie października przyśniła mu się dwukrotnie, prosząc, by ją zabrał spod lasu i pochował na cmentarzu. Broniek postanowił odszukać jej zwłoki. Nie pomogły sprzeciwy innych ze względu na niebezpieczeństwo ze strony banderowców. Wziął karabin, nabrał naboju do kieszeni i ruszył z łopatą pod lityński las. Dopędzili go ojciec, brat i jeszcze ktoś. Na skraju lasu wkrótce natrafili na kilka miejsc, w których były płytko zakopane zwłoki 17 osób. Radowiczanie udało się bez trudu zidentyfikować. Pochowano wszystkich na zasmyckim cmentarzu w drewnianych skrzyniach. Niebawem na skraju lityńskiego lasu, w Gruszówce, przy drodze z Lityna do Zasmyk, znaleziono następne mogiły z wieloma pomordowanymi Polakami z innych wsi, udającymi się do zasmyckiego kościoła.

Zły los zawiązał się na Zosię Żołnik. W następnym roku, w drodze za Bug, została napadnięta przez Ukraińców-cywilów, którzy uciekającym Polakom zabierali żywy inwentarz. Zosi chcieli odebrać krowę – jedyną ocalałą żywicielkę. W szarpaninie zepchnęli Zosię z drogi na frontową minę. Wybuch zranił ją śmiertelnie, zmarła wkrótce z upływu krwi i została pochowana na cmentarzu we Włodzimierzu, niedaleko Bugu, którego nie dane jej było przekroczyć. Z jej rodziny ocalała tylko matka.

Pod koniec października stopniały nasze zapasy, zwłaszcza paszy dla koni. Trzeba było wyruszyć po nią do sąsiednich opuszczonych wsi, w których pozostało jeszcze trochę nie wymłóconego zboża. Takie wypadki były organizowane i ubezpieczane przez samoobronę, którą sprawnie kierował ppor. Henryk Nadratowski „Znicz”. Pojechałem z dziadkiem parokonnym wozem do Białaszowa. W obawie przed banderowcami wybraliśmy najbliższą stodołę, w której było jeszcze sporo nie wymłóconego żyta. Załadowaliśmy drabiniasty wóz pod same belki. Teraz trzeba było ładunek przycisnąć drągiem i zawiązać linę na rozworze, by w drodze nie gubić snopków. Gdy już wiązałem, gdy rozległa się bliska karabinowa palba. Wystraszone konie nagle szarpnęły i wóz wytoczył się na podwórze. Mimo przestachu dziadzio zapanował nad nimi. Trzymając z trudem lejce wyjechał na drogę do Zasmyk, którą pędziły puste i załadowane wozy gubiąc snopki. Ze względu na znaczną odległość pociski leciały wysoko, gwizdząc nad wozami i nie wyrządzając nikomu szkody. Na szczęście zgubiliśmy tylko kilka snopków, ale za to strachu najedliśmy się co niemiara. Zdobycz starczyła koniom do końca listopada.

Listopad 1943 r obfitował w wiele dramatycznych wydarzeń, o których dochodziły do nas tylko strzępy wieści. Dnia 9 listopada Niemcy zwinęli swój polowy garnizon, w zasięgu którego było również miasteczko Kupiczów, odległe od Zasmyk 12 kilometrów, zamieszkałe głównie przez Czechów. Kilka godzin później wkroczyli doń banderowcy, niechętni ludności czeskiej za sprzyjanie Polakom. Nowa sytuacja w Kupiczowie zaniepokoiła nie tylko Czechów, ale i Polaków, gdyż odsłoniła niebezpiecznie

południową flankę zasmuckiej bazy samoobrony. 11 listopada zjawiała się w Zasmuckach delegacja Czechów z prośbą do „Jastrzębia”, by otoczył opieką ich miasteczko. Por. „Jastrzęb” dał się ubłagać i następnego dnia, tj. 12 listopada zajął Kupiczów, przeganiając nieduży oddział banderowców. Ale oni nie myśleli rezygnować z wyjątkowo ważnego strategicznego punktu. 13 listopada o świcie oddziały UPA zaatakowały z czterech stron. Bój z polską załogą trwał cały dzień, ale atak został odparty. Przeżyliśmy tę bitwę wyjątkowo głęboko i trwożnie, wiedząc, że walczą tam nasi najbliżsi i że od tej bitwy zależą nasze losy, nasze życie.

Jeszcze bardziej dramatycznie było w Kupiczowie 22 listopada. Chmary banderowców zaatakowały polskie pozycje ze wszystkich stron. Kiedy pod koniec dnia oblężonym wydawało się, że lada chwila pęknie pierścień obrony, na tyłach banderowców rozległo się gromkie i zbawcze „hurra!” Z odsieczą przyszedł „Jastrzęb”. Również z przeciwnej strony, północnej, polski pluton przeciął obręcz oblężenia. Już w pełnym zmroku przepędzono banderowców spod miasteczka. W tej obronie Kupiczowa brał udział mój ojciec „Okoń” i trzej wujkowie: „Buzdygan”, „Lisek” i „Zajac”. Ojciec wspominał tę bitwę jako jedną z najbardziej dramatycznych, w jakich przyszło mu uczestniczyć od 1 września 1939 roku. Był w trzyosobowej załodze bunkra przy kościele. Do pomocy miał dwóch niedoświadczonych Czechów, którzy dygotali ze strachu, ale trwali na placówce do końca oblężenia.

Jednym z wyjątkowo dramatycznych dni tamtego miesiąca w Zasmuckach był 16 listopada. Z poduszczenia Ukraińców do Zasmuck został wysłany z Kowla duży oddział niemieckiej żandarmerii. Niemcy niespodziewanie weszli do wsi szeroką tyralierą od lityńskiego lasu. Zaskoczenie zasmuckan było całkowite. Niespodziewanie i na naszym podwórzu znaleźli się żandarmi, a w domu był wujek Molenda „Zajac” w kompletnym umundurowaniu z 1939 roku i w pełnym uzbrojeniu piechura. Przyszedł na kilka godzin odwiedzić rodzinę. W sąsiednim pomieszczeniu siedział sobie beztrudno trochę bzikowaty niemiecki dezenter, w pełnym swoim umundurowaniu, tylko bez broni, bo mu ją kobiety zabrały i schowały za szafę. Uratowały nas z opresji dwie osoby: ciocia Bronia i Waclaw Babiński, którego uważano za nie w pełni normalnego. Ciocia rzuciła wujka karabin z ładownicami do piwnicy, a jego w płaszczu i butach położyła do łóżka, przykrywając pierzyną i zawinawszy mu głowę dużą chustą. Gdy do izby weszło dwóch rosyjskich żandarmów, jeden z nich łamaną polszczyzną zapytał, kto leży w łóżku. Ciocia płacząc powtarzała, że to umierający na tyfus. Żandarmi zlustrowali wzrokiem przepelnioną ludźmi izbę i na odchodnym ten sam zapytał, czy gdy mocno stuknie w podłogę, to skąd wyskoczy karabin. Wszyscy podnieśli lament, przekrzykując się, że nigdzie nie ma żadnej broni, jest tylko umierający na tyfus, który leżał jak trusia, wstrzymując nawet oddech. Żandarmi przechodząc do sąsiedniej izby rozminęli się w sieni z dezenterem, którego Wacek ubrał w długą kapotę, wręczając mu jeszcze wiadro z pomyjami i przeprowadził przez podwórze pełne żandarmów, ukrywając w stodole pod snopkami. Dezenter leżał tam dygocąc ze strachu i zimna do wieczora, bo jakoś w tym rozgardiaszu wszyscy o nim zapomnieli. Wystraszony i przemarznięty zażądał zaraz swojego ekwipunku, twierdząc że rozmyślił się i chce wrócić do swojej jednostki w Kowlu. Wrócił, ale bez broni, odwieziony przez dwie dzielne dziewczyny-partyzantki – Antoninę Leśniewską „Wierną” i Joannę Zamościńską „Bronkę”.

Pod koniec listopada znowu wyczerpały się nam zapasy paszy dla koni. Trzeba było zdecydować się na kolejny ryzykowny wyjazd gdzieś do pobliskiej, opuszczonej wsi. Bolesław Wiśniewski, pełniący służbę w samoobronie, zorganizował nam ubezpieczony wyjazd do Rokitnicy, gdzie były jeszcze duże zapasy paszy. Z nim i dziadkiem wyruszyliśmy drabiniastym wozem po „złote runo”. We wsi szybko trafiliśmy na stodołę z zapolem doskonałej koniczyny. Podczas gdy dziadzio z Bolkiem ładował wóz, jaz ukrycia obserwowałem teren. W odległości może kilometra czerniała się ściana wysokopiennego lasu. Na jego skraju zauważyłem jakieś postacie. Gdy zaniepokojony chciałem już biec do stodoły, ktoś obok stanowczym głosem wezwał mnie do siebie. Spostrzegłem nagle, że w odległości kilkunastu metrów stoi dwóch uzbrojonych mężczyzn. Ten, który mnie wzywał, wyglądał szczególnie groźnie – był w dużej, kudłatej, futrzanej czapie. Nogi ugięły się przede mną, po prostu zbaraniałem. Chciałem biec do stodoły i krzyknąć, by ostrzec dziadka i Bolesława, ale ten w czapie powtórnie stanowczym głosem przywołał mnie do siebie. W tym momencie uświadomiłem sobie, że on mówi po polsku, że jest Polakiem.

Podszedłem do nich kilka kroków i stanąłem przyglądając się im z niepokojem. W tym momencie od strony lasu padł strzał, po nim jeszcze kilka. Pociski przeciągle zaświstały w górze. Dwaj nieznajomi podeszli szybko do wysokiej grobli i zajęli na niej pozycje leżące, obserwując linię lasu. Ten w kudłatej czapie krzyknął:

– Powiedz swoim, by zmykali stąd, bo zaraz może być tutaj gorąco.

„A więc to nasi” – pomyślałem i w te pędy pognałem do stodoły. Sapiąc wykrzyczałem, co widziałem. Wóz był już czubato załadowany koniczyną. Ruszyliśmy kłusem po zmarzniętej drodze, bacznie się rozglądając. Gdy opuszczaliśmy wieś, za naszymi plecami wybuchła gęsta strzelanina. Kilka fur galopem doganiało nas, ponaglając do szybszej jazdy. Na szczęście już bez przygód dotarliśmy do Zasmuck.

Nadeszły święta. Ale w tamtych warunkach Boże Narodzenia dalekie było od świątecznego, gwiazdkowego nastroju. Wieczór wigilijny był szary i smutny. Zbyt świeże i bolesne były w pamięci

tragedie wielu bliskich nam osób, których mogły okrutny los rozrzucił po spalonych wsiach, lasach i polach, okrytych teraz głębokim całunem śniegu. W Wigilię chwycił przymrozek. Na wieczornym niebie, zamiast symbolicznej gwiazdki, rozlała się rdzawa luna płonących – gdzieś za czarną ścianą lasu domostw. I chociaż w ciasnej, wilgotnej izdebce zapłonęły na choince resztki cudem uratowanych świeczek, przypominających lepsze czasy, nas nie opuszczało przygnębienie, poczucie beznadziejności i lęku o najbliższą przyszłość. Po podzieleniu się opłatkiem i złożeniu sobie życzeń, dziadzio nasz, jak to było w zwyczaju, zaintonował „Bóg się rodzi”. Pozostali zrazu podchwycili kolędę, ale zaraz śpiew się urwał i rozległ się stłumiony szloch.

Najbardziej było mi żal ciężko już chorej mamy, która zdana była na najgorsze. Leżała cichutko przy chłodnej, wilgotnej ścianie z kawałkiem opłatka w ręce, traktując go jako jedyny cudowny lek na odmawiające posłuszeństwa serce. Odeszła od nas kilka dni później w noc mroźną i szalejącą zamieć.

Jak przez wiele miesięcy, tak i w wigilijną noc zasypialiśmy z dręczącym niepokojem o przyszłość. Wczesnym rankiem dotarła do nas alarmująca i przerażająca wieść: na sąsiadujące z Zasmukami kolonie Radomie i Janówka napadli banderowcy i zbliżają się do Zasmuk. Zza pobliskich olszyn dochodziła do nas przybierająca na sile strzelanina, w niebo wzbijały się słupy czarnego dymu płonących w Janowce zabudowań. W szalonym, gorączkowym pośpiechu zebraliśmy się do ucieczki. Nasz naprędce i byle jak załadowany wóz z ciężko chorą mamą dołączył do długiego już szeregu wozów i sań z biegnącymi obok ludźmi, głównie starcami, kobietami i dziećmi. Tabor ciągnął pośpiesznie w stronę lityńskiego lasu, gdzie spodziewano się znaleźć bezpieczniejsze schronienie. Niektóre furmanki zjeżdżały z zatłoczonej drogi i parły po polu czy łące, gubiąc toboły, wywracając się na zasypanych śniegiem jamach. Wyrzucone w śnieg dzieci, przyduszone tobołami, zanosily się od płaczu. Kobiety błagały o pomoc.

Ktoś rozsądny ostrzegł, że w lityńskim lesie mogą być banderowcy i bezpieczniej będzie zatrzymać się w przydrożnych olszynach. Wozy i sanie szybko zapełniły je po brzegi, a zdezorientowani i wystraszeni ludzie zaczęli trwożnie wsłuchiwać się w gęstniejącą i coraz bliższą strzelaninę. Niemiecki samolot z niedalekiego lotniska krążył nad polem bitwy, ostrzeliwując na oślep teren, zataczając coraz większe koła i wreszcie z rykiem przeleciał nad stłoczonymi wozami. Gdyby nie mgła i maskująca olszyna, lotnik dokonałby straszliwej masakry. Na szczęście wszystko skończyło się na panicznej ucieczce wielu zaprzęgów do sąsiednich olszyn.

Widok pędzących w kierunku Zasmuk sań z polskimi partyzantami nieco nas uspokoił, wzbudzając nadzieję na wyparcie banderowców z zasmuckiej bazy. I tak się stało. Po południu strzały ucichły. Wróciliśmy do Zasmuk, które dzięki odsieczy nie znalazły się w zasięgu banderowców i ocalały.

Z napadniętych miejscowości dochodziły sprzeczne wieści, które budziły grozę. Banderowcy dostali się do Radomia na wozach przykrytych słomą, powożonych przez woźniców w niemieckim umundurowaniu. Miejscowa samoobrona, nie chcąc wchodzić w konflikt z Niemcami, szybko ukryła broń i pośpiesznie ruszyła do domów. Gdy furmanki znalazły się między zabudowaniami, spod słomy wyskoczyli uzbrojeni banderowcy i rozpoczęli krwawe żniwa. Natychmiast dołączyły do nich watahy czatujące w okolicznych wsiach.

Radomie i Janówka spłonęły, a komu nie udało się uciec lub ukryć, zginął od kuli, kolby karabinu lub spłonął żywcem. Straty w ludziach wyniosły ponad 50 osób zamordowanych i kilkunastu rannych. Byłyby one znacznie większe, gdyby nie to, że wielu mieszkańców było w tym czasie w zasmuckim kościele, a więc poza strefą zajęta przez banderowców. Ci, którym udało się ująć z życiem, przeżyli godziny potwornej grozy.

Po powrocie do Zasmuk pobiegłem zaraz na przykościelny plac, gdzie zwożono pomordowanych i poległych. Na zakrwawionym śniegu leżało już kilkadziesiąt ciał. Ludzie chodzili obok, rozpoznając martwych bliskich i znajomych. Inni klęczeli lub siedzieli na śniegu przy ciałach, oplakując ich śmierć. W pamięć wryły mi się cztery leżące obok siebie ciała z przykrytymi głowami. Były to dwie może dziesięcioletnie dziewczynki, ich mama i babcia, która, jak mówiono, przybyła do nich na święta. Podczas ucieczki babcia została ranna – pocisk karabinowy strzaskał kolano. Błagała wnuczki i ich mamę, by ratowały się ucieczką, ale one nie chciały już rozstać się z babcią. Banderowcy dopadli ich na polu i – oszczędzając amunicję – roztrzaskali im głowy kolbami.

W ten tragiczny dzień Bożego Narodzenia banderowcy zabili 10 osób z Radowicz. Zginął z bronią w ręku, ostrzeliwując się, Antoni Romankiewicz, członek samoobrony w Janowce. Zamordowani zostali: Wanda Raczyńska-Szewczyk, Czesława Raczyńska, Helena, Józef, Antoni i Stefania Wałęgowie oraz Antoni i Jan Wąsikowie. Zamordowany został również Wincenty Szewczyk, który wymurował w Radowiczach figurę stojącą do dzisiaj.

Od tamtych tragicznych świąt minęło już tyle lat, ale wstrząsający widok leżących na śniegu pomordowanych dorosłych i dzieci – moich wówczas rówieśników – często staje mi przed oczyma. Od tamtej pory nie miałem świąt Bożego Narodzenia, które nie przywiodłyby mi na pamięć tamtej sceny. A sądzę nawet, że sprzeniewierzyłem się ofiarom tamtych groźnych czasów, gdybym o Nich zapomniał, gdybym o Nich nie napisał.

Groźne i krwawe wypadki, a zwłaszcza napad i mord ludności w Janowce i Radomiu, zgubnie odbiły się na wątłym zdrowiu mamy, a kompletny brak leków przyspieszył tragiczny koniec. W milczeniu, nie skarżąc się, leżała oczekując śmierci. Martwiła się o mnie i siostrę, że pozostaniemy sami i to w takich strasznych warunkach, które jeszcze z dnia na dzień się pogarszały, bez jakichkolwiek perspektyw na poprawę. Jak nie śmierć ze strony banderowców, to głód, a właściwie jedno i drugie groziło nam stale.

Pod koniec grudnia wyczerpały się zapasy paszy dla koni i znowu trzeba było jechać w niebezpieczny rejon. Wyjazdów tych zacząłem się już bać. Ale innego wyjścia nie było. Okazja trafiła się 3 stycznia. Dzień był pogodny, mroźny i bezwietrzny. Wyruszyło kilka sań, ubezpieczonych przez zasmycką samoobronę. Docelowa wieś została dobrze zlustrowana przez pododdział naszej partyzantki, by wykluczyć banderowską zasadzkę. Przed południem byliśmy na miejscu. Wjechaliśmy do dużej, zamożnej, wyludnionej wsi. W stodolach było już tylko żyto w snopkach. Nie mając w czym przebierać, załadowaliśmy drabiniaste sanie. Jadąc z powrotem obserwowaliśmy pilnie teren. Na horyzoncie rysowały się skrajne zabudowania Radowicz – kolonia Puhy, gdzie mieszkała przed kilkoma miesiącami ciocia Stefanowiczowa – teraz obce, nieprzyjazne, a nawet groźne.

Gdy wjeżdżaliśmy do Zasmyk, słońce chyliło się ku zachodowi. Okropnie doskwierał głód, więc popędzałem konie do dobrego kłusa. Dziadzio, skulony z zimna, wtulił się po szyję w snopki, upominając mnie, bym wolniej i rozważniej jechał, bo wyspać się do rowu nie było trudno. Gdy zbliżyliśmy się do naszego podwórza, ciesząc się udanym wypadem, naprzeciw nam wybiegła kuzynka Zosia, krzycząc, bym szybko udał się do domu, bo mama jest umierająca. Przerażony oddałem lejce dziadziowi, a sam zsunąłem się z sań i co tchu pobiegłem na przelaj, po głębokim śniegu, do domu. Mama leżała półprzytomna, straciła już mowę. Gdy ukląknę przy łóżku, położyła mi rękę na głowie, usiłując coś powiedzieć. Niestety, ręka po chwili bezwładnie opadła, a po twarzy spłynęły łzy. Plakali wszyscy, klęcząc i modląc się przy świecy, którą babcia zabrała jeszcze z Radowicz i wozila ze sobą jak relikwie. Przyszli sąsiedzi z naprzeciwka, by pożegnać się z umierającą. Zmarła po północy, nie odzyskawszy przytomności.

W nocy rozszalała się mroźna zamieć, przysypując grubą warstwą śniegu podwórza, pola i drogi. Srożyła się również 6 stycznia, gdy drabiniastymi saniami wieźliśmy mamę na zasmycki cmentarz. Na pogrzeb przybył ojciec z jakiejś odległej partyzanckiej placówki, powiadomiony przez gońca z samoobrony. Szedł z nami na cmentarz w partyzanckim rynsztunku, bo obowiązywała wówczas zasada nie rozstawania się z bronią w każdych okolicznościach.

Glucho zadudniła zmarznięta ziemia o naprędcie zbitą trumnę ze zbutwiałych desek. W godzinę po pogrzebie, jeszcze za dnia, ojciec pożegnał się z nami i odjechał przygodną podwodą do swego leśnego oddziału. Widziałem, jak przed odjazdem rozmawiał ze łzami w oczach z babcią, prosząc ją o opiekę nad nami – mną i siostrą. Zostaliśmy, jak zresztą dotychczas, przy dziadkach, a właściwie przy babci, bo dziadzio był już słabego zdrowia.

Przez wiele nocy, przed zaśnięciem lub obudziwszy się, nie mogłem powstrzymać się od płaczu. Babcia jak potrafiła pocieszała mnie, mówiąc często, że mama nie musi przeżywać tego wszystkiego, co nas jeszcze czeka, a swoim pracowitym życiem, uczciwością i cierpieniem zasłużyła sobie na łaskę niebios. Nocami rozpamiętywałem z palącymi wyrzutami wszystkie te swoje uczynki, którymi wyrządziłem mamie przykrość, a najbardziej ten niedawny, kiedy zbyt hardo odpowiedziałem, że nie pojedę po paszę, bo się boję, bo chcę jeszcze żyć. Mama, będąc już bardzo chora, rozplakała się i z żalem odwróciła się ode mnie, zanosząc się gwałtownym kaszlem. Przeprosilem ją zaraz i pojechałem razem z innymi. Wróciłem szczęśliwie.

Dnia 16 stycznia 1944 roku, w niedzielę, do Zasmyk i okolicznych miejscowości, wchodzących w skład zasmyckiej bazy samoobrony, napłynęły liczne grupy kowelskiej młodzieży konspiracyjnej i wiele osób starszych. Przyjechała nawet wyładowana uciekinierami duża niemiecka ciężarówka na tzw. „holgaz”. Przybysze wnieśli do bazy wiele ożywienia i optymistyczny nastrój wyczekiwania na pomyślne wydarzenia. Niestety, ruch mobilizacyjny 27. Wołyńskiej Dywizji AK, który spowodował exodus młodzieży z Kowła, nie uszedł uwadze Niemców, ani Ukraińców donoszących władzom okupacyjnym o każdym ruchu Polaków.

19 stycznia Niemcy w sile kompanii podeszli zniemacka o świcie do pierwszych zabudowań Zasmyk od strony Rokitnicy. Ostrzelani przez zaskoczony patrol samoobrony, otworzyli huraganowy ogień z różnych rodzajów broni maszynowej, w tym i z szybkostrzelnego działka. Ogień zlewał się w jeden diabelski jazgot, budząc wieś i wprawiając mieszkańców w straszliwą panikę.

Ubrałem się piorunem i wybiegłem na podwórze, skąd ujrzałem wprost dantejski widok: po zaśnieżonych polach uciekało ludzkie mrowie – pieszo, na wozach, saniach, wierzchem na koniach. Słupy dymu i płomieni wzbijały się pod ołowiane chmury. Jazgot strzelaniny rozdzierały przeraźliwe i rozpaczliwe krzyki i nawoływania, ryk palącego się w oborach bydła, rzenie i kwik koni, ujadanie i żalony skowyt psów.

Rzuciłem się do stajni, wyprowadziłem konie, niezbornymi ze strachu rękami z trudem zaprzęgiłem je do wozu, a następnie pobiegłem do domu, by powiedzieć, że wóz gotowy do ucieczki. Biegłem

wróciłem na podwórze z zamiarem podjechania wozem pod dom. Ale w tym momencie na podwórzu pojawił się Bolesław Wiśniewski, który ukrył się za pnem dużej gruszy i zaczął ostrzeliwać widocznych na śniegu Niemców. Bliskie strzały spłoszyły konie, które wpadły w wysokie krzewy i tam utknęły z drabiniastym wozem. Usiłowałem je stamtąd wyprowadzić, ale bez powodzenia. Zauważyłem, że wysoki płomień i dym wzbil się nad zabudowaniami naszego sąsiada, Józefa Redmera, a Niemcy leżąc niedaleko na śniegu biją z kaemu do ostrzeliwującego ich zza gruszy Bolesława. Z domu nikt nie wychodził, gdyż zdecydowano, że bezpieczniej będzie ukryć się w dwóch piwnicach.

Gdy zadymiała nasza stodoła, rzuciłem się za ludźmi do ucieczki. Widok leżącej na drodze kobiety i trzask ścinanych pociskami gałęzi jeszcze bardziej mnie przeraził i zmusił do rozpaczliwego biegu. Skręciłem do kościoła, by się tam ukryć, ale gdy spostrzegłem, że ksiądz Żukowski biegnie już w tłumie ludzi w kierunku Gruszówki, popędziłem zanim.

W lityńskim lesie zwolniono tempo ucieczki. Spotkaliśmy tu sporą liczbę naszych partyzantów, którzy z niepokojem wypytywali uciekinierów o przebieg pacyfikacji. Zapewniali, że Niemców do Kupiczowa nie przepuszczą. Ich surowe postawy i zdecydowanie zrobiły na mnie duże wrażenie. Od strony Zasmuk ciągle jeszcze dochodziły strzały, a nad lasem krążył samolot, lecz mgła i gęste konary maskowały uciekających. Po wyjściu z lasu ujrzałem na kilkukilometrowej drodze do Kupiczowa niekończący się sznur wozów, sań i pieszych. Przy wjeździe do miasteczka stały ponemieckie zasieki z drutu kolczastego, a z bunkrów i transzei groźnie wystawały lufy karabinów maszynowych. I tutaj nasi partyzanci byli zdecydowani przyjąć bój z napastnikiem.

Utrudzony do ostateczności 13-kilometrową ucieczką, głodny i z piekącymi wyrzutami sumienia, że zostawiłem dziadków i siostrę na pastwę losu, a sam tchórzliwie uciekłem – siadłem na nasypie okopu obok bunkra, wypatrując z iskierką nadziei krewnych i znajomych. W pewnej chwili rozpoznałem z radością konie i wóz, na którym siedzieli dziadkowie, siostra i jeszcze jacyś ludzie. Pomyślną ucieczkę spod gęstego ognia zawdzięczali dużej odwadze i opanowaniu babci. Gdy niemieckie natarcie na wieś straciło impet wobec coraz silniejszego oporu samoobrony, pod ostrzałem i obok płonących zabudowań wyprowadziła konie i wóz z krzewów, załadowała trochę maneli i razem z dziadkiem i Danusią dołączyła do uciekających już ostatnich zaprzęgów, zabierając na wóz jeszcze kilka starszych osób i dzieci. Nad wyraz dzielnie spisała się i Bogusia. Podczas gdy jej mama zrezygnowała już z ucieczki, chcąc ukryć się w piwnicy domu, który za chwilę zaczął płonąć, ona pod ostrzałem zaprzęła swoją kasztanek do wozu i zdążyła z matką i siostrą w ostatniej chwili przed wejściem na podwórze Niemców dołączyć do uciekających furmanek.

Nieśmiało, ze wstydem za swój niegodny – w mojej ocenie – tchórzowski postępek, dołączyłem milcząco do jadących dziadków. Babcia zaraz skarciła mnie ostro za nieodpowiedzialne, egoistyczne zachowanie, z którego doskonale zdawałem sobie sprawę. Takie to były czasy, że i od dzieci wymagano bohaterstwa. Zatrzymaliśmy się u jakiegoś Czecha, który udostępnił nam duży pokój wysłany czystą słomą, a koniom miejsce w stajni. Ze swoimi gorzkimi wyrzutami sumienia poszedłem zaraz do kościoła, by się wypowiedzieć, ale kolejka do ks. Bonawentury Burzmińskiego była bardzo długa, więc zrezygnowałem z tego zamiaru. Wracając dołączyłem do grupy, która poszła oglądać banderowski „czołg”, zdobyty przez Polaków 22 listopada ubiegłego roku. Gdy wróciłem do swoich, wszyscy byli po skromnym posiłku – chlebie i pieczonych ziemniakach, których już dla mnie nie starczyło. Zauważyła to gospodyni i przyniosła mi jeszcze kawałek chleba i jakiejś herbaty, oczywiście niesłodzonej, bo cukru na Wołyniu od kilku lat nikt nie uświadczył. Po całodziennej głodówce i „marszobiegu” czerstwy chleb smakował mi jak nigdy dotychczas.

Następnego dnia przed południem odnaleźli nas ojciec i wujek Molenda, którzy doszli do wniosku, że należy nas wywieźć gdzieś daleko poza Kupieźów, w bezpieczniejsze miejsce. Po skromnym posiłku wyruszyliśmy w kierunku Zasmuk. Za lityńskim lasem znaleźliśmy się w zdewastowanych zabudowaniach na okropnym bezludziu – w Gruszówce, 4 kilometry od Zasmuk. Dotarliśmy tam o zmierzchu, po głębokim śniegu i bezdrożu. Samotna podróż w nieznaną, mocno zdewastowaną chałupka oraz bezludzie zrobiły na nas wyjątkowo przygnębiające wrażenie. Byliśmy prawie w rozpacz. Mieliśmy żal do ojca i wujka, że rzucili nas w takie pustkowia. Oni z kolei usiłowali nas przekonać, że tutaj tak łatwo nie dotrą ani Niemcy, ani banderowcy, że jest to najbezpieczniejszy zakątek w zasięgu zasmuckiej bazy samoobrony. Obiecali czuwać nad nami i nieść nam pomoc. Pożegnali nas i zniknęli w gęstniejącym, ponurym mroku, udając się do swoich placówek. A my byliśmy załamani. Chatynka nie miała ani szyb, ani drzwi, ani podłogi. Z brudnej, wilgotnej słomy wystawały tylko belki pod podłogę. Płyta kuchenna była rozebrana, cały był tylko komin i piec chlebowy.

Po otrząśnięciu się z pierwszych koszmarnych wrażeń, zaczęliśmy przygotowywać pomieszczenie do snu. Płachtami zasłoniliśmy dwa okna. Przypadkowo w obejściu znaleźliśmy pod śniegiem wejściowe drzwi i założyliśmy je na zawiasy. W piecu do pieczenia chleba rozpaliliśmy ogień, by otrzymać wodę ze śniegu. Chlew zachował się w dobrym stanie, więc umieściliśmy w nim konie. Zaobrokowaliśmy je snopkami żyta znalezionymi w szopie. Na grubej warstwie suchej słomy przygotowaliśmy sobie

legowisko. Do późna wieczór, grzejąc się od płomieni z chlebowego pieca, naradzaliśmy się, co robić dalej. Ustaliliśmy w końcu, że będziemy szukać lepszego kwaterunku, bliżej ludzi.

Następnego dnia pojechaliśmy do Zasmuk. Na kilometr przed wsią doszedł nas przykry swąd spalizny. Zamiast zabudowań jak okiem sięgnąć, od kościoła do Rokitnicy, były tylko czarne miejsca zgłiszcz i gdzieniegdzie sterczące kominy. W wielu zniszczonych gospodarstwach leżały zwęglone trupy trzody chlewnej i koni, których uciekający nie zdążyli wyprowadzić na zewnątrz czy po prostu pospuszczać z łańcuchów. Po obejrzeniu naszego i kilku sąsiednich pogorzeliśk udaliśmy się do kościoła, gdzie spotkaliśmy wielu znajomych, którzy płacząc opowiadali o swoich dramatach. Materialne straty Zasmuk były przerażające – spłonęło pół wsi: 38 zabudowań, pozbawiając w tęgi mróz dachu nad głową kilka tysięcy osób. Spłonęło wiele trzody i koni – siły pociągowej. Natomiast straty w ludziach wbrew najgorszym przypuszczeniom nie były duże, jeżeli brać pod uwagę tak silny ostrzał uciekających z broni maszynowej. Niemcy zabili 6 osób cywilnych i kilka ranili.

Po nabożeństwie wróciliśmy na nasze pogorzeliśko, by wydobyć z niego rzeczy, które jeszcze nadawały się do użytku. Z piwnicy, z głębszej warstwy, wydobyliśmy trochę ziemniaków, które nadawały się jeszcze do zjedzenia. Kiedy zbieraliśmy się już do odjazdu, jakiś przechodzień powiedział, że na łąkach za zasmuckim cmentarzem błąkają się krowy, które uciekły z płonącej wsi. Ruszyłem bez zastanowienia w poszukiwaniu. Gdy znalazłem się na rozległych łąkach, porośniętych krzewami, zaczęła ścielić się po ziemi gęsta, mleczna mgła, zapadał szybko zmrok. Gwałtowna odwilż uczyniła śnieg mokrym. Brnąłem po lepkiem śniegu, od jednej do następnej kępy krzewów, biorąc je za błąkające się krowy. W pewnym momencie spostrzegłem, że coś się porusza. Ciemna, nieokreślona sylwetka zbliżała się do mnie. Znieruchomiałem, czekając z walącym jak młot sercem. Wyłoniła się wyraźnie ludzka postać, która zbliżała się do mnie. Ku wielkiemu mojemu zdumieniu i radości rozpoznałem w niej Danusię Kostrubiec.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała również zdumiona.

– Szukam krów.

– Nie ma tutaj żadnych krów, nie ma niczego. Gdzie mieszkasz? – zapytała.

– W Gruszówce.

– To idź szybko, bo noc zapada, a do Gruszówki daleko. Ruszyłem biegiem do Zasmuk. Natrafiłem na jakieś rozlewisko, pokryte cienkim lodem. Woda sięgała mi do kolan. Wpadłem w panikę, myślałem, że zaraz się utopię. Ale biegłem gnany strachem. Wreszcie trafiłem na twardy grunt. Znalazłem się obok cmentarza, skąd drogą dobiegłem do naszych zgłiszcz, ale tam już nikogo nie było. Rzuciłem się znajomą drogą w kierunku Gruszówki. Zmachany, wystraszony i przemoczony prawie do pasa dopędziłem skrzypiący wóz. Od cioci otrzymałem zasłużoną burę. Późnym wieczorem byliśmy w naszej chatce na koszmarnym bezludziu.

Następny dzień, 22 stycznia, sobotę, poświęciliśmy na uporządkowanie „mieszkania”, obórki i obejścia. Uświadomiliśmy sobie, że nie powinniśmy się zbyt bać. Ostatni raz byli tutaj banderowcy 31 sierpnia, kiedy to zostali rozbici i rozpedzeni na cztery wiatry. Później już tu ich noga nie powstała. Nabieraliśmy przekonania, że Niemcy po spaleniu Zasmuk też tutaj nie mają czego szukać. Było to pustkowie, a w promieniu kilkunastu kilometrów znajdowały się silne polskie placówki. Mimo tej świadomości, o zmroku, a zwłaszcza nocą oblatywał nas strach, czasami nie do zniesienia. Lęk wzbudzała bliska, czarna ściana lasu lityńskiego, pobliskie krzewy, każdy szum wiatru czy daleki strzał. Już o zmroku baliśmy się w pojedynkę wychodzić z domu. Wieczorem rozmawialiśmy ściszym głosem, przy blasku ognia z chlebowego pieca modliliśmy się długo i żarliwie. Myśleliśmy stale o opuszczeniu koszmarnego bezludzia. W niedzielę, 23 stycznia, wyjechaliśmy do Zasmuk na sumę. Spotkaliśmy wielu znajomych, którzy ciągle jeszcze głęboko przeżywali dramatyczną pacyfikację sprzed trzech tygodni. Ktoś podsunął nam pomysł, by nasze zabudowania w Gruszówce rozebrać i postawić w Zasmuckach. Zapaliliśmy się do pomysłu, ale po rozważeniu sprawy doszliśmy do wniosku, że jego realizacja byłaby ponad nasze możliwości.

Któregoś dnia ojciec przyprowadził nam dojną krowę. W pobliżu odkryliśmy kopiec z ziemniakami. Było więc dla niej i dla nas pożywienie. Od pacyfikacji Zasmuk jedliśmy tutaj wyłącznie placki z przemarzniętych, słodkich ziemniaków, wydostanych ze spalonego domu. Teraz można było gotować ziemniaczaną zupę, zabielałą mlekiem.

Dni upływały coraz szybciej. Zaczęliśmy się po trosze oswajać z nowym miejscem zamieszkania. W sobotę, 19 lutego, na śniegu w pobliżu zabudowania zauważyliśmy ślady kilku osób, które prowadziły pod lasem do pobliskiego jeziora. Bardzo nas to zaniepokoiło. Zastanawialiśmy się, kto to mógł być i w jakim celu. Następnego dnia tajemnica się wyjaśniła. Gdy w niedzielę wybieraliśmy się do kościoła, w pewnym momencie usłyszeliśmy na podwórzu męskie głosy, a za moment dwaj osobnicy z wycelowanymi w nas karabinami wtargnęli do domu. Błyskawicznie zaświtała mi myśl, aby wyskoczyć przez okno. Rzuciła się do okna i ciocia Bronia, usiłując zedrzeć z niego płachtę, ale jeden z intruzów, z bielmem na oku, wypchnął nas na środek izby do reszty struchlałych osób i wrzasnął:

– Coście za jedni?

– Polacy – krzyknęło kilka osób, nie wiedząc jeszcze, kim są intruzi. – A kto wam pozwolił tutaj zamieszkać? – zapytał ten z bielmem, ale już łagodnym tonem.

– Nasi z Zasmyk – krzyknęliśmy niemal chórem.

Przybysze spuścili z tonu, tłumacząc się, że są z samoobrony i rutynowo patrolują okolicę. Nie przypuszczali, że mogą tutaj mieszkać Polacy. Przeprosili i poszli sobie, a myśmy długo nie mogli ochłonąć z wrażenia.

Stałe przeżywanie silnego lęku nadwerężyło nasze nerwy do granic wytrzymałości. Dłuższy pobyt na tym bezludziu uznaliśmy za niemożliwy. Postanowiliśmy szukać innego miejsca zamieszkania. Wybór padł na Kupiczów, jako że Janówka, Radomie i w połowie Zasmyki były spalone. Jednak znajomi, których spotkaliśmy po mszy, stanowczo odradzali nam wyjazd do innej miejscowości.

– Macie dach nad głową – przekonywali – ziemniaki, paszę dla koni i krowy – czego wam jeszcze potrzeba? Siedzicie na miejscu, w sąsiednich koloniach połowa ludzi gnieździ się w ziemiankach, brakuje wszystkiego, nawet ziemniaków. Ludzie głodują, marzną, chorują. W Kupiczowie też pełno uciekinierów, okropny ścisk i niedostatek.

Rozczarowani i markotni wracaliśmy do swego znieawidzonego siedliska. Wraz ze zmierzchem przyszło mocne postanowienie: jechać do Kupiczowa, by przekonać się na własne oczy, jak mają się sprawy. Do podróży przygotowaliśmy jeszcze sprawne sanie, znalezione pod śniegiem. Następnego dnia, w piękny, słoneczny, ale mroźny poranek wyruszyliśmy na rekonesans. Z daleka widniało na horyzoncie upragnione miasteczko.

W Kupiczowie było ludno i jakoś beztrosko. W oczy rzucał się wszędzie ład, czystość i dostatek: ładne domy i budynki gospodarskie, malowane ogrodzenia, czyste uliczki. Dwa kościoły, katolicki i ewangelicki oraz duża kopulasta cerkiew, spory rynek, dom ludowy z białą-czerwoną flagą. Lepsze miejsce do zamieszkania trudno było sobie wyobrazić.

Dziadzio zapytał napotkanego Czecha, gdzie można by tutaj zamieszkać. Ten po namyśle powiedział, że wolne gospodarstwa są na odległym przedmieściu koło Nyr i poinformował, jak tam dojechać. Ruszyliśmy z miejsca we wskazanym kierunku. Ale nieliczne, ocalałe z pożaru domostwa były tam już zajęte. Większość spłonęła podczas listopadowych walk polskiej załogi z UPA.

Gdy jechaliśmy stępą, rozglądając się za jakimś pustym jeszcze domem nagle, jak piorun z jasnego nieba, rozległy się serie z broni maszynowej, wstrząsające detonacje i ryk motorów samolotu. Wzdłuż naszej ulicy nad samymi drzewami leciał dwusilnikowy samolot z czarnymi krzyżami. Błyskawicznie zeskoczyłem z sań i padłem obok na śnieg, tuż przy murowanej ścianie wypalonego domu. Spłoszone konie z dziadkiem popędziły dalej. Samolot zatoczył koło i jeszcze raz ostrzelał miasteczko długimi seriami. Leżałem osłonięty trochę ścianą, dygocąc ze strachu, wyęzając słuch i obserwując niebo. Po kilku minutach wyszedłem ostrożnie na ulicę. W Kupiczowie wzbijały się w niebo czarne słupy dymu, płonęły zabudowania koło młyna. Wzrokiem szukałem dziadzia i koni. Sto metrów dalej stały one przy płocie podwórza, a obok dziadzio wiązał sznurkami porwaną uprząż. Zobaczywszy mnie zaburczał:

– Znowu uciekłeś. A gdybym i ja tak zrobił, to co stałoby się z końmi?

Siedząc na saniach i słuchając dziadzia spostrzegłem naraz, że za płotem stoi dom w zupełnie dobrym stanie, z szybami w oknach. Wszystko wskazywało, że jest niezamieszany. Obok w dobrym stanie budynki gospodarcze – obora, stodoła i jakaś szopa.

– Dziadziu – wykrzyknąłem – a gdybyśmy tutaj zamieszkali!? Weszliśmy do domu. Były w nim dwie obszerne izby, rozdzielone

dużą sienią, w zupełnie dobrym stanie, oczywiście bez mebli. Obejrzelśmy również oborę, stodołę i szopę – komfort, jak na tamte warunki. Dziadzio z miejsca zdecydował, że jutro i to jak najwcześniej przyjedziemy tutaj, by tylko ktoś nas nie ubiegł. Ruszyliśmy zaraz w powrotną drogę. Późnym wieczorem byliśmy w naszej chatynce, oczekiwani z niecierpliwością przez domowników. Chęć opuszczenia bezludzia była u wszystkich tak silna, że nawet relacja o bombardowaniu nie zniechęciła przed wyjazdem do Kupiczowa. Przystąpiliśmy do pakowania się, a następnego dnia rano pożegnaliśmy chatynkę na pustkowiu.

Po wyjeździe z lasu, zaraz na jego skraju, minęliśmy Lityn – folwark hr. Stefana Sumowskiego, gdzie w początkach września ubiegłego roku banderowcy wymordowali czterdzieści kilka osób ludności folwarcznej, miażdżąc ofiarom czaszki grubym metalowym prętem zakończonym mutrą. W zabytkowym parku stały mury spalonego przez UPA pałacu, a obok sterczały już tylko kominy po puszczonej z dymem czworakach. Nieco dalej – przy grobli, którą jechaliśmy – spostrzegliśmy makabryczny widok: ze śniegu wystawał trup nadjedzony do kości przez wrony. Na jego widok babcia przeżegnała się, wyrażając obawę, czy aby to nie jest złowróżbny znak, za co dziadzio ofuknął ją, że kracze i podciął konie. Obok znanego mi już bunkra wjechaliśmy do Kupiczowa, a po chwili znaleźliśmy się na długiej ulicy, przy której widniały leje po bombardowaniach. Od 21 stycznia, kiedy to pierwszy raz niemiecki samolot zrzucił kilka niedużych bomb, naloty powtarzały się wielokrotnie – samoloty bezkarnie grasowały nad dachami miasteczka, nie wyrządzając jednak dotychczas większych szkód.

Ku naszej wielkiej radości upatrzone zabudowania były puste. Rozglądając się po najbliższym terenie uświadomiliśmy sobie z dużym niepokojem, że nasza nowa siedziba była prawie na końcu ulicy i co najmniej pół kilometra od ostatnich zamieszkałych zabudowań. Babcia znowu dopiekła dziadziowi, twierdząc że wpadliśmy z deszczu pod rynnę i byłoby bezpieczniej wrócić zaraz na poprzednie miejsce. Dziadzio okropnie się zdenerwował i zagroził wszystkim, że jeżeli nie przestaniemy krakać, to nie odpowiada za to, co się zaraz może stać.

Jeszcze tego dnia ciocia Bronia udała się do dowództwa samoobrony, by prosić o ubezpieczenie naszego terenu. Tam jej odpowiedziano, że nie mamy się czego bać, bo samoobrona od dawna czuwa nad tym miejscem, a kilkaset metrów za nami mieszkają już Polacy.

W ciągu kilka dni urządziliśmy się jako tako, pozbijaliśmy prycze, wyremontowaliśmy płyty kuchenne, uporządkowaliśmy oborę i obejście. Konie i krowy miały ciepłe pomieszczenie. Z pobliskiej wsi Nyry przywieźliśmy czubaty wóz snopków żyta, w pobliżu znaleźliśmy kopiec ziemniaków, a z kwatermistrzostwa dostaliśmy trochę mąki i wołowiny. Przydzielono nam również jeszcze jedną dojną krowę, więc mleka starczało na bardziej zabelane zupy. Na sytuację aprowizacyjną nie mogliśmy już narzekać.

W początkach marca trafiła mi się okazja odwiedzenia ojca. Batalion „Jastrzębia”, w którym służył ojciec, stacjonował wówczas w ukraińskiej wsi Ossa, jakieś 15 kilometrów od Kupiczowa, gdzie ochraniał sztab 27. Dywizji Armii Krajowej. Między Kupiczowem a Ossą codziennie kursowały podwozy. Jeden z woźniców pozwolił mi się z nim zabrać. Sanie mknęły przez rozległe, równinne pola, pokryte śniegiem. Na horyzoncie rysowały się zabudowania, kępy drzew, to znowu las i jakieś kolonie. Woźnica nie był rozmowny, jechał w skupieniu, ciągle rozglądał się i wyraźnie się bał. Mnie również polecił obserwować teren, bo – jak się wyraził – lichy i bulbowcy nie śpią. Po dwóch godzinach jazdy wjechaliśmy do dużej wsi z okazałą kopulastą cerkwią. W środku wsi znalazłem ojca, który z moich odwiedzin bardzo się ucieszył. Poczęstował mnie zaraz partyzancką zupą z kawałkami wołowego mięsa. Smakowała mi wyśmienicie.

Byłem, jak zwykle, w stosunku do ojca bardzo nieśmiały, więc o nic nie pytałem. Odpowiadałem na pytania i słuchałem z zapartym tchem opowiadania o ciężkich bitwach, w których niedawno uczestniczył – w obronie Kupiczowa i pod Ośmigowiczami. Ta ostatnia była wyjątkowo krwawa: poległo w niej 8 naszych żołnierzy a 14 było rannych. Wróciłem z Ossy dumny z ojca i pełen wrażeń.

W marcu dał się zauważyć wzmożony ruch naszych oddziałów, zdążających na zachód. Pewnej nocy ulicą obok przemaszerował w kierunku Kupiczowa duży oddział polskiej partyzantki. Za pieszymi ciągnęły tabory, a nawet kilka działek. Któregoś marcowego dnia, idąc z oddziałem na koncentrację, odwiedził nas Henio „Lisek”. Zupełnie przypadkowo zauważył stojącą w oknie babcię. Zatrzymał się na kilkanaście minut. Był w zdobyczym niemieckim umundurowaniu i z pepeszą, którą partyzanci bardzo sobie cenili. Dzięki niej i granatom uratował się w dramatycznej walce w pobliskich zabudowaniach podczas drugiego oblężenia Kupiczowa przez UPA. Kilka tygodni później – 16 kwietnia – Henio poległ w lasach mosurskich w boju z niemieckimi jednostkami frontowymi. Jego śmierć, o której dowiedzieliśmy się po kilku miesiącach, przeżyliśmy boleśnie. Babcia do końca swego życia, przez wiele lat, nie chciała w nią uwierzyć. Wychodziła na drogę i wypatrywała jego powrotu.

W trzeciej dekadzie marca rozpoczęły się w rejonie nadbużańskim dramatyczne i nierówne walki 27. WD AK z frontowymi jednostkami Wehrmachtu, mającymi nad partyzantami miążdzącą przewagę liczebną i w uzbrojeniu. Niebawem Dywizja dostała się w pierwsze i drugie okrążenie. Wydostawało się z nich wielu naszych i radzieckich partyzantów, którzy o sytuacji okrążonych przynosili przerażające wieści. Przeżywalimy je głęboko i boleśnie. Słowo „okrążenie” nabrało dla nas i całej ludności polskiej zamieszkałej wówczas w bazie zasmycko-kupiczowskiej, wprost apokaliptycznych treści, wywoływało skurcz w gardle i łzy, bo tam o głodzie i chłodzie desperacko walczyli i ginęli nasi najbliżsi – synowie i ojcowie, bracia i krewni.

Dnia 23 marca z Kupiczowa ewakuowano dywizyjny szpital, pozostali tylko ciężko ranni. Mniej więcej w tym samym czasie pojawiły się w miasteczku i okolicy liczne i doskonale uzbrojone oddziały radzieckiej partyzantki. Wiedzieliśmy, że to są nasi sprzymierzeńcy, że walczą również z największymi naszymi wrogami – banderowcami – i będą nas przed nimi chronić. Ale ich grubiańskie i hałaśliwe zachowanie robiło na nas przykre wrażenie. Byliśmy przyzwyczajeni do naszych partyzantów, którzy odnosili się do nas uprzejmie, często serdecznie. Nowych przybyszów po prostu baliśmy się, bo było wśród nich wielu Ukraińców nieprzychylnych Polakom. Któregoś dnia hurmem, bez pytania, wtargnęli do naszego małego pomieszczenia, porozsiadali się wokół i chłopcu, którego nazywali Cyganok, kazali tańczyć kozaka. Chłopczyna nieporadnie podskakiwał, reszta śpiewała i klaskała. Gdy zmęczony Cyganok usiadł na podłodze, któryś zwrócił się do babci, aby dała coś zjeść „tancerzowi”.

Po kilkunastu dniach partyzantów jakby wymiotło z Kupiczowa. Zbliżał się front. Pozostała niebezpieczna luka. Ktoś nas postraszył, że nocą w okolicy pojawiają się banderowcy i podchodzą nawet pod Kupiczów. Którejś nocy wtargnęło do naszego domu kilku uzbrojonych cywilów. Pytali po rosyjsku, czy nie ukrywają się u nas obcy mężczyźni. Po zlustrowaniu pomieszczeń i obejść odeszli, napędzając nam

porządnego strachu. Pomyśleliśmy, że bezpieczniej będzie nocować w centrum Kupiczowa. Zaopatrzeni w koce i poduszki wybraliśmy się całą gromadą do domu ludowego. Dziadzio pozostał sam na „dyżurze”.

W domu ludowym zastaliśmy okropny ścisk. W dużej, ciemnej sali i pozostałych pomieszczeniach koczowało ludzkie mrowie. Dzieci bezustannie płakały, dorośli chodzili przewracając się o podłogowe belki oraz leżących i siedzących. Z trudem znaleźliśmy skrawki miejsc, by usiąść, ale o śnie nie było mowy. W środku nocy nad Kupiczowem rozległ się potężny jęk eskadr lotniczych. Musiały być dziesiątki samolotów, bo przelot trwał kilka minut. Gdy ktoś krzyknął, że to nalot na Kupiczów i zaraz posypią się na nas bomby, ludzie w panice ruszyli do wyjścia, przewracając się i krzycząc. Wyszliśmy z trudem na plac. Była jasna, księżycowa noc. Wyteżając wzrok wpatrywaliśmy się w usiane gwiazdami niebo, lecz samolotów nie można było dostrzec. Oddalał się tylko potężny jęk silników. Wróciliśmy przepychając się do sali, ale nasze miejsca były już zajęte. Znaleźliśmy inne. Było trochę luźniej, bo część ludzi pozostała na zewnątrz. Po niedługim czasie ponownie dał się słyszeć narastający, potężny huk samolotów, tym razem z zachodu. Widocznie radzieckie eskadry wracały z wykonanego zadania. Znowu w hali powstało poruszenie, ale tym razem nie opuszczaliśmy swoich miejsc. O świcie wróciliśmy zmaltretowani i niewyspani do domu, rezygnując już z noclegów w centrum.

W sobotę przed Wielkanocą, 8 kwietnia, doszedł nas silny warkot motorów. Naszą ulicą od strony Jezierzan jechały trzy czołgi, na których powiewały... biało-czerwone flagi. Wybiegliśmy na ulicę. Czołgi zatrzymały się kilkanaście metrów przed naszym domem. Z pierwszego wysiadł radziecki major i zwrócił się do nas:

- Kto wy?
- Polacy, uciekinierzy – odpowiedział po rosyjsku dziadzio, który znał doskonale ten język jeszcze z zaborów i służby w carskiej armii.
- A gdzie polskie partizany?
- Bjut faszystów – odpowiedział dziadzio.
- Mołodecy partizany. Budiem bit' faszystów wmiestie. Polaki naszy sojuzniki, potomu na tankach polskie flagi.

Major zrobił na nas sympatyczne wrażenie. Rozpoczęliśmy przyjazne rozmowy z czołgistami, którzy poinformowali nas, że do Kupiczowa idą regularne jednostki Czerwonej Armii. Wkrótce może być tutaj gorąco i niebezpiecznie. Na zachód od Kupiczowa tworzy się front. Major poinformował nas również, że na terenie Związku Radzieckiego powstaje polska armia.

Ukraińskie kobiety i dzieci, które już zdążyły wprowadzić się do rudery obok, z nieukrywaną nienawiścią spoglądały na nas i biało-czerwone flagi. A nam piersi rozpierała duma i radość, że naszą flagę szanuje nasz niedawny wróg i jest teraz sojusznikiem Polaków i że mamy wreszcie swoją armię, która nie pozwoli nas już unicestwić. Niemalą satysfakcję sprawili nam czołgiści i tym, że zainteresowali się wyłącznie nami, a na stojących obok ponurych Ukraińców w ogóle nie zwracali uwagi. Znowu odzyskiwaliśmy nadzieję, że po odejściu polskiej partyzantki, bezpieczeństwo nasze nie jest zagrożone.

Dnia 9 kwietnia, w pierwszy dzień Wielkanocy, zostałem z dziadkiem w domu, a reszta poszła do kościoła. Odwiedził nas radziecki major, dowódca stojących jeszcze czołgów. Poczęstowałem go kawałkiem świątecznego chleba. Jedząc rozmawiał z dziadkiem o polskiej partyzantce, chwalił dziadzia, że wychował dwóch synów, którzy walczą teraz z faszystami. Oczywiście dziadzio mu nawet nie wspomniał, że najstarszy syn, Feliks, brał udział w kampanii antybolszewickiej 1920 roku, a młodszy, Kazimierz w październiku 1939 roku został wywieziony na Sybir.

Rozmowę nagle przerwały bliskie detonacje, a następnie warkot samolotów przelatujący nad naszymi zabudowaniami. Radzieckie „zenitki” otworzyły skądś wściekły ogień. Major chwycił mnie za rękę i wszyscy trzej wybiegliśmy z domu. Na komendę majora padliśmy na błotniste podwórze. Po kilku sekundach pobiegliśmy kilkanaście metrów dalej. Samoloty zawróciły i leciały prosto na nas. Gdy przywarłem do ziemi, obok rozległo się kilka ogluszających detonacji – bomby wybuchły między czołgami i naszymi zabudowaniami. W niebo wzbily się czarne słupy dymu.

Ochłonawszy z przerażenia poszliśmy oglądać miejsca, gdzie spadły bomby. Obok szosy ziały czarne leje. Z ganku wyleciały szyby, odłamki potłukły trochę dachówek, ale okna, znajdujące się z drugiej strony domu, ocalały. Przerażeni błagaliśmy z dziadkiem majora, by zabrał stąd swoje czołgi, żeby nie ściągnęły na nas nieszczęścia. Major pożegnał się z nami i po kilkunastu minutach czołgi odjechały w kierunku centrum, powiewając nadal biało-czerwonymi flagami, które pewnie nie tyle świadczyły o radzieckich sympatiach do Polaków, ile o tym, że dowództwo radzieckie liczyło się z siłą bojową polskiego zgrupowania partyzanckiego – 27. Wołyńską Dywizją AK.

Nasza ulica stała się jedną z ważniejszych do frontowych arterii. Ciągnęły nią zmotoryzowane i piesze kolumny Armii Czerwonej na turzyński odcinek frontu, który formował się kilkanaście kilometrów na zachód od Kupiczowa. Znaleźliśmy się w niebezpiecznej dla życia strefie ogniowej, jak i tysiące mieszkańców i uciekinierów w Kupiczowie. Rozgorzały walki o Kowel, który Niemcy uczynili twierdzą.

Gęsta kanonada artyleryjska i wybuchy bomb na kowelskim odcinku zlewały się w jeden przeciągły grzmot, w który wsłuchiwalismy się z satysfakcją i lękiem na przemian.

W połowie kwietnia rozgorzały walki na kupiczowskim odcinku frontu. Rozpoczął się artyleryjski ostrzał miasta i bombardowanie przez lotnictwo niemieckie. Ataki przybierały na sile. Płonęły zabudowania w centrum, na naszym przedmieściu i w okolicy. Z kopulastej cerkwi buchały kłęby czarnego dymu. Dym z płonących zabudowań i wybuchów zasnuł niebo, przesłonił słońce do tego stopnia, że widoczność w południe zmalała do kilkunastu metrów. Samoloty zrzucały bomby na oślep, na puste pola i łąki. Artyleria przeniosła ogień w głąb radzieckich pozycji powodując popłoch w wycofujących się pododdziałach i wśród uciekającej ludności cywilnej. Pociski zaczęły wybuchać obok naszych zabudowań. Nasza ulica stawała się coraz bardziej zatłoczona cofającym się wojskiem, samochodami, ciągnikami z działami i wozami konnymi, którymi ewakuowano rannych. Zauważyłem, że żołnierze, w przeciwieństwie do cywilów, traktują ostrzał bez paniki. Dopiero na świst pocisku czy ryk bomby błyskawicznie padali, gdzie stali.

Zbliżał się wieczór, słońce kryło się za wzgórzami, ciągnącymi się pod Tuliczów, gdzie byli już Niemcy. Na froncie trochę przycichło, słychać było tylko długie serie z broni maszynowej. Widocznie nieprzyjaciel już bez przeszkód szykował się do zajęcia Kupiczowa. A nas ogarniało śmiertelne przerażenie, gdyż zdawalismy sobie sprawę, że z Niemcami wejdą banderowcy i wytną ludność polską co do nogi, już bez żadnych przeszkód. Nie ominą również Czechów, że sprzyjali Polakom. Ale uciekać nie było jak, bo droga była dla naszych wozów niedostępna, a jazda przez polne bruzdy i wgłębienia skończyłaby się po kilkadziesiąt metrów.

Nasza izdebka, sień, szopa napełniły się uciekinierami, głównie kobietami i dziećmi z Kowla. Wszędzie zastanawiano się nad ucieczką przed zbliżającym się niebezpieczeństwem ze strony banderowców, którzy mogli się tutaj znaleźć w najbliższym czasie. Niektórzy byli zdania, że uciekać należy bez zwłoki polami, wzdłuż frontowych dróg, inni – że należy przeczekać noc i ruszyć wczesnym rankiem. Nagle ktoś wpadł do izby z wiadomością, że obok dzieje się coś dziwnego. Wybiegliśmy przed dom. Na ulicy wzmogło się jakieś poruszenie, z jezdni zjeżdżały na pobocze samochody i wozy, a w kierunku Kupiczowa powoli jechały jakieś dziwne ciężarówki, tylko zamiast skrzyń miały jakby pontony przykryte brezentem. Dziwne ciężarówki kilkaset metrów dalej zatrzymały się między zabudowaniami i w kępach drzew po obu stronach ulicy. Po kilkunastu minutach rozległo się potężne, przeciągłe zgrzytanie i łskot, strumienie ognia trysnęły w granatowijące niebo. Żołnierze zaczęli wiwatować, rzucać czapkami i krzytać: „Katuszy! Naszy katuszy!”

Późnym wieczorem odwiedził nas znajomy major, którego gościliśmy w Wielkanoc. Przyniósł trochę wieści z podkupiczowskiego pola bitwy. Kontratak radziecki z udziałem katusz załamał niemieckie natarcie. Na przedpolach Kupiczowa poległo kilkuset Niemców. Nieprzyjaciel wycofuje się na Radowicze – Turzysk.

Następnego dnia w godzinach popołudniowych obserwowalismy bombardowanie Kupiczowa przez... lotnictwo radzieckie. Na widok nadlatujących samolotów oficer radziecki uspokajał mieszkańców: „Eto naszy orły!”. Ale od „orłów” zaczęły odrywać się czarne punkty, wybuchając na rynku, uliczkach i w ogrodach. W miejscu, gdzie stał oficer, wyrwało czarny, głęboki lej. Zginęło kilku żołnierzy i cywilów. Nasza znajoma, żona Władysława Molendy, żołnierza 27. DP AK, w tym czasie opuszczała Kupiczów. Na wozie, w pierzynach, wiozła dwoje małych dzieci, z tyłu uwiązane były dwie krowy. Na ryk bomby zatrzymała wóz i padła obok na ziemię. Sekundę później bomba rozerwała dwie krowy, ale dzieciom i matce nic się nie stało, tylko odłamki rozpruły pierzyny i utkwily w nich. Jeszcze tego dnia dowiedzieliśmy się, że bombardowanie Kupiczowa było wynikiem niedoinformowania dowództwa lotnictwa o utrzymaniu miasteczka przez wojska radzieckie, a stojący na głównej ulicy banderowski „czołg”, przypominający z góry niemiecką panterę, upewnił lotników, że miejscowość jest we władaniu Niemców. Późnym wieczorem oficer zakomunikował nam, że decyzją dowództwa frontu wszyscy cywile zobowiązani są w ciągu 24 godzin opuścić strefę frontową i udać się wyznaczonymi drogami co najmniej za rzekę Stochód. Osoby niesprawne będą ewakuowane przez wojsko. Początkiem trasy ewakuacyjnej jest nasz odcinek ulicy i stąd samochody będą zabierać uciekinierów.

Niezwłocznie rozpoczęliśmy przygotowania do opuszczenia Kupiczowa. Dziadzio zdjął z wozu wyschnięte koła i zanurzył w kałuży, by je naprężyć i wzmocnić – uodpornić na niesamowite wyboje. Złamanie koła w tych warunkach byłoby katastrofą. Trzeba by było wówczas liczyć wyłącznie na wojsko, które ewakuowało uciekinierów tylko z osobistym bagażem. Niektórzy przebąkiwali, że taka podróż mogłaby się zakończyć w Związku Radzieckim.

Do późnej nocy przygotowywalismy się do podróży. Na podwórzu i obok zaroilo się od uciekinierów, liczących na tabor wojskowy, którzy zapełnili stodołę i szopę. Część biwakowała na słomie pod gołym niebem. Spakowawszy wszystkie manele poszliśmy – już późnym wieczorem – przygotować wóz. Ku naszemu przerażeniu przykrytych słomą kół nie było. Dziadzio zaniemówił, znieruchomiał. Stał i bezradnie wpatrywał się w bajoro, gdzie kilka godzin temu miał zanurzyć koła. Babcia zaczęła lamentować, siostra wybuchła płaczem. Naraz babcia zauważyła inną kałużę, a w niej przykryte słomą

koła. Zbesztala dziadka, że już całkiem zbaraniał. Odetchnęliśmy z niewyobrażalną ulgą, kpiąc z dziadzia niemiłosiernie. Po północy, nie rozbierając się posnęliśmy twardym snem.

Obudziły nas bliskie detonacje i brzęk wypadających szyb. Błyskawicznie zerwałem się i wybiegłem na podwórze. Za mną tłoczyli się inni. Padłem na błotnistą ziemię. Za moment zerwałem się i pobiegłem z grupą ludzi przed siebie. Nieopodal płonęły zabudowania, oświetlając teren. Znad Kupiczowa dochodził warkot samolotów i zajaśniała kanonada zenitówek, wystrzeliwujących sznury świetlistych pocisków.

Następnego dnia z przerażeniem oglądaliśmy skutki nocnego bombardowania. Obok naszej obory ział głęboki lej. Kilka metrów zadecydowało, że konie i krowy ocalały. Wiele odłamków przebiło ściany, ale ominęły lokatorów. Na ulicy obok naszego domu wyzierał czarny krater.

Wybuch zdmuchnął oszklony ganek, wydmuchał szyby z okien i zniósł część dachu. Na szczęście ofiar w ludziach nie było. Długo po północy posnęliśmy czujnym snem.

Poranek był mglisty i chłodny, siąpił deszcz. Ulicą ciągnęły na wschód wozy z tobołami i uciekinierami. Za wozami na uwięzi szły powoli wychudzone krowy. By uniknąć tłoku na drodze dziadkowie i ciocie oraz jeszcze kilka rodzin zdecydowali wyruszyć w trasę nasłanego dnia. Następnego dnia, tuż przed naszym wyjazdem, zjawili się na podwórzu dwaj radzieccy oficerowie, którzy badali skutki ostatniego nocnego bombardowania. Poprosili dziadzia, by im towarzyszył po naszym obejściu. Oglądając leje bombowe obok obory, zwrócili uwagę na kopaczkę do ziemniaków z długim dyszlem, wzniesionym pod kątem kilkudziesięciu stopni. Na zdobycznej mapie niemieckiego pilota kopaczka była zaznaczona jako przeciwlotnicze działo i prawdopodobnie dlatego stała się obiektem nocnego bombardowania. Muszę podkreślić, że babcia uprzedzała dziadzia, że lotnik niemiecki może wziąć kopaczkę za armatę i narobić biedy, ale on uśmieł się serdecznie z „babskich urojeń

W mgliste, dżdżyste przedpołudnie wyjechaliśmy w nieznane, rozstając się na zawsze z Kupiczowem. Jechaliśmy stępą, pokonując z największym trudem błotnistą drogę z głębokimi, wiosennymi wybojami i koleusami po samochodach, ciągnikach i czołgach. Poboczem prowadziliśmy krowy. Po kilku godzinach zatrzymaliśmy się na odpoczynek, popas koni i krów. Tymczasem zaczęło się wypogadzać, ale czyste niebo sprzyjało również i niemieckiemu lotnictwu, które zaczęło siać na drogach popłoch i zniszczenie. Z bliskiej odległości obserwowaliśmy bombardowanie gościńca, z którego tylko co zjechaliśmy na odpoczynek. W przydrożnych kępach drzew zaszczeły zenitówki. Na niebie pojawiły się radzieckie myśliwce, atakujące niemiecką eskadrę. Jedna z niemieckich maszyn zadymiała i spadła za szynami, znacząc miejsce upadku głośnym wybuchem i kłębam czarnego dymu. Odpocząwszy nieco kontynuowaliśmy podróż. Późnym popołudniem zatrzymaliśmy się w kępie drzew na jakimś podwórzu, które zarosły zgliszczą po zabudowaniach. Pozostał tylko po nich sterzący komin i piec chlebowy, który babcia zaraz wykorzystwała do upieczenia podplomyków. Reszta jadących z nami rodzin rozlokowała się w pobliżu, również w miejscach, gdzie ogień strawił zabudowania. Szybko skleciłiśmy z żerdzi szalasy dla siebie, koni i krów, maskując w ten sposób miejsce postoju. Nieludzko zmęczeni ułożyliśmy się późnym wieczorem do snu. Spaliśmy kamiennym snem do białego dnia. A dzień był ciepły i słoneczny. Po południu odwiedziły nas żołnierki, Rosjanki, które pełniły służbę wartowniczą w pobliskim lazarecie, mieszczącym się w sąsiedniej szkole i rozstawionych wokół namiotach. Przyniosły nam poczęstunek – chleb z „tuszonką”, czyli amerykańską konserwą wieprzową. Ich życzliwością i gościnnością byliśmy głęboko ujęci. Wsłuchiwały się z uwagą w opowiadanie dziadzia o naszych dramatycznych wołyńskich przejściach. One poinformowały nas, że miejscowość, w której zatrzymaliśmy się, nazywa się Dąbrowa. Wiele lat później dowiedziałem się, że działała tutaj, ochraniając ludność polską, jedna z placówek zasmyckiej bazy samoobrony, którą dowodził ppor. Jerzy Kurzydłowski „Jurek”. Przed wejściem Armii Czerwonej żołnierze placówki udali się w rejon koncentracji 27. WD AK.

W Dąbrowie spędziliśmy prawie trzy tygodnie, pozostawieni własnemu losowi, bo dowództwo radzieckie nie zwracało na nas uwagi. Warunki mieliśmy dobre. Tuż obok była duża łąka, pokrywająca się gęstą, soczystą trawą, na której całymi dniami pasły się nasze konie i krowy. Doskwierało nam jedynie lotnictwo niemieckie, bombardujące gościniec i obozy wojskowe w pobliskich olszynach. Biła wówczas zajaśniała artyleria przeciwlotnicza.

Któregoś dnia w samo południe tuż nad nami przeleciał samolot z czarnymi krzyżami, ostrzeliwując z broni pokładowej nasze obozowisko i pasący się na łące inwentarz. Napędził nam nie lada strachu, ale na szczęście nikomu nic się nie stało. Pod koniec drugiego tygodnia pobytu w Dąbrowie miało miejsce przykre zdarzenie: czerwonoarmista zarekwirował naszą śliczną kasztankę, pozostawiając w zamian okropnie zabiedzonego mongolskiego chmyza, pokrytego parchem i świerzbem i w dodatku bardzo agresywnego w stosunku do ludzi i koni. Płacząc błagałem żołnierza, by nie zabierał nam kasztanki, ale on oświadczył, że jedzie na front i musi mieć sprawnego konia. Podobno prawo zezwalało wojsku na takie zamiany, z czego żołnierze skwapliwie korzystali. Ale kilka dni później ktoś z naszych sąsiadów miał widzieć, jak żołnierz sprzedał kasztankę Ukraińcom za bimber. Dochodzenie sprawiedliwości uznaliśmy za bezcelowe, a nawet niebezpieczne. W Armii Czerwonej służyło wielu Ukraińców, którzy

nienawidzili Polaków i sprzyjali UPA. My byliśmy w dalszym ciągu poza prawem, jeżeli wówczas można było mówić o jakimś prawie.

Przypadek sprawił, że ruszyliśmy wcześniej w drogę niż planowaliśmy. Któregoś dnia przed południem przybłąkał się do nas czerwonooarmista. Twierdził, że idzie do swojej jednostki na front. Usiadł przy ognisku i zaczął złorzeczyć Stalinowi, przypisując mu wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na ludzi w Związku Radzieckim. Do ogniska przysiadł się jakiś nieznajomy, prawdopodobnie Ukrainiec z pobliskich zabudowań, który usiłował wciągnąć do dyskusji dziadków i ciocię. Dziadzio, podejrzewając w tym intrygę, milczał i zaraz opuścił całe towarzystwo. Jeszcze tego dnia wczesnym popołudniem wyjechaliśmy w kierunku Hołób. Gościńcem, którym jechaliśmy, ciągnęły na front samochody, działa i jakieś dziwne czołgi. W przeciwnym kierunku jechały samochody z rannymi, rozbitym sprzętem, zużytą amunicją, a nawet jeden z ciężarnymi żołnierzami, które wycofywano z frontu. Podróż była wyjątkowo uciążliwa, zwłaszcza na terenie piaszczystym.

Koło Bożydarówki, pod Hołobami, dostaliśmy się pod silne bombardowanie. Samoloty z czarnymi krzyżami przelatywały tuż nad wierzchołkami olech, zrzucając bomby na kolumnę wojska. W płomieniach stanęło kilka samochodów, na szczęście bez amunicji. Kilka wozów wraz z końmi bomby rozniosły na strzępy. Było wielu zabitych i rannych żołnierzy. Nam na szczęście nic się nie stało – zdążyliśmy zjechać z gościńca w cienistą olszynę. Któryś raz z kolei przypadek ocalił nam życie.

Utrudzeni do granic wytrzymałości zdecydowaliśmy się zatrzymać na dłuższy popas w kępie olszyn. Zastanawiając się, co robić dalej, spostrzegliśmy w sąsiedniej kępie drzew jednokonną wóz, przy którym krzątały się dwie kobiety. Wóz miał podłożony drąg pod tylną oś, jak to się zwykło robić w przypadku złamania koła. Podłożony drąg ślizgał się po gruncie i umożliwiał powolną jazdę, ale niezwykle uciążliwą, wprost katorżniczą, zwłaszcza dla jednego konia i pasażerów, którzy musieli mu pomagać. Ku radosnemu zaskoczeniu w jednej z pasażerek nieszczęsnego zaprzęgu rozpoznaliśmy ciocię Marysię Stefanowiczową. Serdecznie uściskaliśmy ją i jej córeczkę Alinkę. Jak się okazało, w nocy na postoju ktoś ukradł im koło od wozu. Gdy naradzaliśmy się, jak wyjść z tarapatów, podjechał do nas gazik z oficerami, którzy polecieli nam natychmiast opuścić teren. Oświadczyliśmy im, że to jest niemożliwe, bo ktoś ukradł koło.

– Nie rozpaczajcie, zaraz będzie koło – powiedział oficer i gazik odjechał.

Po kilkunastu minutach żołnierze przynieśli koło, pomogli je nałożyć na oś i polecieli natychmiast ruszyć w drogę. Uradowani ruszyliśmy, ale w tym momencie z olszyny wybiegła grupa kobiet ukraińskich ze starszyną, czyli starszym sierżantem. Siłą zatrzymały wóz cioci i zaczęły hałaśliwie i natrętnie domagać się zwrotu koła. Jedna z nich usiłowała już kluczem odkręcić mutrę. Ciocia z koleżanką pchnęły ją, aż ta nieprzyzwoicie nakryła się nogami. Stojący obok żołnierze zaczęli rechotać i czynić sprosne uwagi. Stanęliśmy wszyscy w obronie cioci. Rozpoczęła się przepychanka, zanosilo się na bijatykę. Nie wiadomo, czym by się wszystko skończyło, gdyby nie zjawił się znowu gazik z oficerami. Jeden z nich strzelił kilka razy w powietrze i wrzasnął:

– Poszoł won! A wy – zwrócił się do nas – w drogę! Jazda. Ruszyliśmy ku gościńcowi. Dopiero pod Hołobami ochłonęliśmy

z emocji. Wkrótce znaleźliśmy się na szosie Łuck – Kowel. Ale jazda szosą okazała się niemożliwa ze względu na intensywny ruch i aktywność niemieckiego lotnictwa, które szczególnie uwzięło się na tę ważną do frontową arterię zaopatrzenia. Zjechaliśmy na polną drogę. Pod wieczór przekroczyliśmy w bród Stochód. Otoczył nas niezwykle krajobraz: szeroka podmokła dolina rzeki, porośnięta wysokim sitowiem i trawą, pełna dzikiego ptactwa.

Pod wieczór zatrzymaliśmy się na skraju doliny rzeki, w gęstej łożynie, obok kilku kęp olszyn, gdzie stacjonowały niewielkie pododdziały wojsk pancernych. Wobec grasujących jeszcze banderowców miejsce to – w sąsiedztwie wojska – zapewniało nam pełne bezpieczeństwo. Od koczujących już tutaj polskich uciekinierów dowiedzieliśmy się, że rozległe ugry były kilka lat temu uprawnymi polami polskich osadników-legionistów, wywiezionych w lutym 1940 roku na Sybir. Miejscowi Ukraińcy zagarnęli ich gospodarstwa i co lepsze grunty. Ceglany gruz, wymieszane z ziemią skruszałe tynki i dziczejące drzewa owocowe były jedynymi świadkami ludnej niegdyś kolonii. Nieliczne rodziny, które ominęła deportacja, podzieliły los większości ludności polskiej – zostały wymordowane przez OUN-UPA lub rozproszone po Wołyniu.

Następnego dnia dołączyło do nas kilka polskich rodzin, wśród nich Łodejowie z Radowicz, nasi sąsiedzi. Antoni Łodej do końca naszej tułaczki po Wołyniu służył nam radą i pomocą, był doskonałym przewodnikiem i opiekunem. Z długą brodą i rozczochranymi włosami wyglądał znacznie starzej i patriarchalnie, co go zabezpieczało przed wzięciem do Wojska Polskiego. Rosjanie wyłapywali mężczyzn w wieku poborowym i kierowali do formującej się wówczas w rejonie Berdyczowa i Kiwerc I Armii gen. Berlinga. Dwaj jego synowie, Tadeusz i Mieczysław, byli dzielnymi żołnierzami zasmuckiej samoobrony, a następnie 27. WD AK. Z mosurskiego okrążenia Mieczysław przedostał się na stronę radziecką i został skierowany do Berdyczowa, a następnie wcielony do formującej się 1. Brygady Piechoty Zmotoryzowanej. W drodze do swojej jednostki przypadkowo trafił na nasze obozowisko,

gdzie spotkał swoją rodzinę, sprawiając jej i nam wielką radość. Od niego dowiedzieliśmy się wiele o losach żołnierzy baonu „Jastrzębia”, okrążonego w nadbużańskich lasach. Zapragniemy jak najprędzej zobaczyć naszą armię, tym bardziej, że zostało do niej wcielonych wielu partyzantów z 27. WD AK. Ale Łodej przekonał wszystkich, by pozostać tutaj jeszcze kilka dni. W pobliżu była lecznica weterynaryjna, w której leczono ze świerzbu. Postanowiliśmy poddać leczeniu naszego mongoła i klacz, która od niego nabawiła się tych dokuczliwości. Nie zwlekając zaprowadziliśmy naszą parę do lecznicy. Staaliśmy w długiej kolejce do samochodowej komory, w której umieszczano konie, wystawiając na zewnątrz ich głowy przez kołnierz opinający szyję. Koń, unieruchomiony w komorze pasami, był gazowany dwutlenkiem siarki, która wgryzała się w skórę i skutecznie niszczyła pasożyty. Po tym zabiegu trzeba było jeszcze smarować skórę preparatami siarki. Zabieg gazowania był widocznie dokuczliwy, bo zwierzęta wierzęta się w komorze. Nasza klacz stała spokojnie, ale mongoł rzucał się i kwiczał. Zabieg trzeba było powtarzać trzykrotnie w odstępach kilku dni.

W końcu maja, po raz pierwszy w życiu, uczestniczyliśmy w pięknym koncercie, który dali przyjezdni artyści w sąsiedniej jednostce wojskowej. W dużej olszynie ustawiono wysokie podium, wokół którego rozsiadło się na trawie pewnie ponad tysiąc żołnierzy. Występowali recytatorzy, iluzjoniści, rewelersi i soliści. Wystąpiła również jakaś popularna piosenkarka, wykonując z wielkim powodzeniem mato znaną jeszcze wówczas piosenkę Jerzego Petersburskiego „Sinij płateczek”. Pod koniec koncertu, jak grom z jasnego nieba, nad olszyną pojawiły się niemieckie samoloty. Nie było kiedy i gdzie uciekać. Na komendę pokładliśmy się, przywierając szczelnie do poszycia. Ogłuszające wybuchy wstrząsnęły powietrzem. Kilka bomb trafiło w bazę czołgową w sąsiedniej olszynie. I tym razem mieliśmy szczęście. Gdyby bomby spadły na naszą olszynę, byłaby niewyobrażalna masakra.

Zaraz po bombardowaniu frontowa publiczność wróciła na swoje miejsca i artyści kontynuowali koncert, jak gdyby nic się nie stało. Dla nich, jak podkreślił konferansjer, nie była to pierwszyna w ciągu dwóch lat występów na frontowej estradzie. Na zakończenie wszyscy, artyści i publiczność, zaśpiewali pieśń, która towarzyszyła Armii Czerwonej do końca wojny i długo po jej zakończeniu – „Wstawaj, strana ogromnaja, wstawaj na smiertnyj boj...”

Po południu zaalarmowała nas gwałtowna strzelanina z broni maszynowej w pobliskich szuwarach nad Stochodem. Wkrótce wyjaśniło się, że patrol wytropił tam niemieckiego szpiega, który widząc zbliżających się żołnierzy ukrył radiostację i usiłował ratować się ucieczką. Dosięgła go seria z pepeszy. Ranny wyznał podobno, że jest miejscowym Ukraińcem, zwerbowanym przez Niemców. Prawdopodobnie to on powiadomił ich o rozlokowaniu w pobliżu radzieckich pododdziałów. Incydent ten bardziej nas zbulwersował niż bombardowanie, do którego już zdołaliśmy się przyzwyczaić.

W ciągu dwóch tygodni nasze koniki pozbyły się skórnych dolegliwości, zaokrągliły wydatnie swoje kształty i poweselały. Na początku czerwca zaprowadziliśmy je z dziadkiem do kontroli. Starszyna – kierownik lecznicy łakomym wzrokiem obejrzał mongoła, co dziadziowi i mnie sprawiło prawdziwą satysfakcję. Byliśmy obaj dumni, że tak odkarmiliśmy konie. Ale zaraz miny nam zrzedły. Starszyna dokładnie obejrzał mongoła, wskazując na skórze wojenny numer ewidencyjny. Następnie stanowczym tonem oświadczył, że koń przynależy do armii i jest zarekwirowany. W drodze łaski możemy otrzymać innego, niearmijnego. Tu wskazał uwiązaną do żerdzi okropnie zabiedzoną klaczkę mizernych rozmiarów. Na nic się zdały nasze protesty i błagania ani wyjaśnienia dziadzia w języku rosyjskim. Wracaliśmy okropnie przygnębieni. Babcia, jak zwykle, skrzyczała dziadzia, że zachciało mu się kontroli i bez której było widać, że konie są wyleczone. Inni serdecznie nam współczuli, pocieszając jednocześnie, że zamiana nie jest klęską. Klaczka jest młoda – przekonywali – i wkrótce dojdzie do siebie. I co bardzo ważne – nie ma numeru, świadczącego o jej przynależności do armii. Klaczkę nazwaliśmy Kara ze względu na kruczoczarną maść. Ku naszemu zadowoleniu kobyłka szybko dochodziła do siebie, zaokrąglając kształty na soczystej trawie. Polubiliśmy ją za łagodne usposobienie i szybkie przywiązanie się do nas. Bardzo lubiła bliską obecność ludzi i pieszczoty. Reagowała cichym rżeniem, gdy ktoś z nas zbliżał się do niej. Przynosiłiśmy jej najsmakowitszą trawę i koniczynę, by jak najprędzej nabrała sił do dalszej podróży, o której już ciągle dyskutowaliśmy.

Chcieliśmy koniecznie zobaczyć polskie wojsko – obiekt naszych serdecznych marzeń. Wiedzieliśmy, że służy w nim coraz więcej partyzantów z 27. WD AK. Różnice polityczne nas nie interesowały, bo po prostu na nich się nie znaliśmy. Od kilku lat żyliśmy w pustce informacyjnej, jaka cechowała tamte tereny, zwłaszcza pod okupacją hitlerowską. Nie czytaliśmy gazet, bo ich tam nie było, nie słuchaliśmy radia, bo go nie mieliśmy (za posiadanie tego urządzenia groziła kara śmierci), nie kontaktowaliśmy się z ludźmi z szerszego świata, bo ich po prostu brakowało. To był Wołyń, ziemia cmentarna, gdzie sprawą najważniejszą było zachowanie życia.

Wszyscy: dorośli, młodzież i dzieci zdawali sobie sprawę, że teraz, po odejściu od nas naszej 27. WD AK, elementarne potrzeby może zapewnić nam potężna armia, która szła zwycięsko ze wschodu, a wraz z nią Wojsko Polskie, bo w nim służyli nasi drodzy rodacy. W potężnej armii i żołnierzach polskich pokładaliśmy nadzieję na szybki i bezpieczny powrót do swoich wsi i miejsc zamieszkania. Bardzo pragniemy, by nasi ojcowie, krewni i znajomi jak najszybciej wrócili do nas cali i zdrowi. Te prag-

nienia towarzyszyły nam bezustannie. Dlatego z tak wielkim zainteresowaniem i niecierpliwością czekaliśmy na wyjazd do Kiwerskich Lasów. Ale Łodej ni stąd ni zowąd zaczął przebąkiwać, że pojedzie najpierw odwiedzić miejsca bitew legionistów J. Piłsudskiego w 1915 roku i cmentarz, gdzie zostali pochowani jego koledzy. W rzeczy samej, jak się później wygadał, obawiał się jechać w Kiwerskie Lasy, by go przypadkiem, jako stosunkowo jeszcze młodego, nie wcielono do wojska. Uważał, że swój obowiązek patriotyczny spełnił, wysyłając do samoobrony dwóch synów; sam teraz musiał opiekować się trojgiem dzieci i żoną.

Na przyspieszenie wyjazdu wpłynął przykry incydent. Nasze obozowisko pod gołym niebem odwiedził oficer NKWD, który rozpoczął z nami dyskusję na temat spraw polskich, po czym zaatakował gen. Wł. Sikorskiego, nie żyjącego już od roku. Ciocia Marysia stanęła w jego obronie. Doszło do ostrej wymiany zdań. Zebrani wokół ogniska milczeli, dając znaki cioci, by zachowała się podobnie, ale ona ani myślała ustąpić. Dopiero po odejściu intruza uświadomiła sobie, że popełniła niebezpieczny błąd. O świcie wyjechała z Alinką i swoją koleżanką w nieznanym dla nas kierunku. Dzień później i my opuściliśmy obozowisko. Pojechali z nami Łodejowie i jeszcze kilka rodzin.

W słoneczne przedpołudnie tabor ruszył polną drogą w kierunku Kiwerc. Bliskość upragnionego celu podróży wprawiła nas wszystkich w dobry nastrój. Podróż rozłożyliśmy na dwa nieduże etapy. Jedną dobę spędziliśmy na postoju w parku dużego majątku, obok rozległych trawiastych łąk. W głębi parku straszyl wypalonymi oczodołami duży, piętrowy pałac, spalony w ubiegłym roku przez UPA, jak większość pałaców na Wołyniu. Opoдал czerniły się zgliszcza po czworakach. Przy blasku płonącego dworu często wycinano polską ludność folwarczną. Był to jeden ze sposobów barbarzyńskiej depolonizacji Kresów Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej przez OUN-UPA.

Chociaż tułaliśmy się po Wołyniu już od wielu miesięcy, a dramatyczne przeżycia cierniami tkwiły w świeżej pamięci, nie traciliśmy wiary w lepsze jutro. Coraz wyraźniej zanosilo się, że wojna wkrótce się skończy i zwycięstwo będzie po naszej stronie, że niedługo wrócimy do swoich zagród i zaczniemy normalne życie. W czerwcowy wieczór, w grupie rówieśników siedziałem na skraju parku i pierwszy raz od bardzo dawna odważyłem się marzyć, wybiegając nieśmiało myślami w mglistą przyszłość. W parku pachniały bzy i jaśminy, przypominające Radowicze, śpiewały upojnie słowiki. A na dalekim zachodnim horyzoncie płonął front tysiącami ogni. Setki rakiet i świetlistych pocisków szybowało w gwiazdne, granatowe niebo. Reflektory – nieodłączny element nocnego wojennego krajobrazu – szperały po dalekim nieboskłonie. A w parku pod akompaniament akordeonu żołnierze śpiewali tęskne wojskowe piosenki.

Następnego dnia wcześniej niż zwykle ruszyliśmy w drogę. Zwartym, gliniastym traktem, wśród urodzajnych pól jechaliśmy w kierunku Rożyszcz. Po kilku godzinach stanęliśmy na brzegu Styru, po obu stronach którego ciągnęły się kręte, ginące na horyzoncie transeje. Tutaj trzy tygodnie stał front, który następnie przesunął się nad Turię, gdzie trwał już do połowy lipca.

Rożyszcze – nieduże miasteczko nad Styrem – mimo frontowych zniszczeń zrobiło na nas bardzo korzystne wrażenie. Było śliczną oazą na wołyńskiej spopielonej ziemi. Wysoką, gotycką wieżę kościoła otaczały czerwone dachy willi, tonące w bujnej zieleni. Wszystko to w blasku czerwcowego słońca stanowiło wyjątkowo optymistyczny krajobraz. Przed wojną miasteczko liczyło blisko 5 tysięcy mieszkańców i należało do najczystszych na Wołyniu. W samym miasteczku, jak i w okolicznych zamożnych wsiach, mieszkało sporo Niemców, wysiedlonych w 1940 na tereny za Bugiem. Ich majątek zagarnęli miejscowi Ukraińcy. Obiecaliśmy sobie przyjechać tutaj do kościoła na mszę Św., na której nie byliśmy już od kilkunastu tygodni.

Za Rożyszczami minęliśmy dużą zamożną wieś Olganówkę, częściowo spaloną. Pod wieczór znaleźliśmy się na skraju Kiwerskich Lasów. Pod rozłożystymi lipami stanęliśmy obozem. Gdy po całodziennym marszu pod palącym słońcem szykowaliśmy się do snu, z głębi lasu doszedł do nas żołnierski śpiew – płynęła majestatycznie pieśń „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”. Zamarliśmy w bezruchu, urzeczeni pieśnią, która tutaj, na cmentarnej ziemi, wydała nam się cudownym zdaniem. Dorośli ocierali fay wzruszenia. Po chwili gdzieś dalej rozległa się jeszcze jedna miła naszemu sercu pieśń „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Spontanicznie podchwyciliśmy ją, wtórując naszym nieznanym, ale serdecznie bliskim żołnierzom tułaczom. Był to jeden z najbardziej wzruszających wieczorów. Pieśni wzmocniły nasz optymizm i wiarę, że spełnią się nasze najgorętsze marzenia. Dotychczas mroczny i budzący niepokój las stał się nagle przyjazny i przytulny. Gdy śpiew ucichł, dziadzio, nie kryjąc wzruszenia, powiedział:

– Pomódlmy się za naszych żołnierzy, za Polskę!

Mimo zmęczenia długo dyskutowaliśmy, snując przypuszczenia co do sił naszego wojska, jego składu, uzbrojenia, a przede wszystkim co do obecności w nim naszych chłopców z 27. WD AK. Wielu z nas żywiło nadzieję, że wkrótce spotkamy się z bliskimi, którzy według naszego rozumowania powinni już wyjść z okrążenia i znaleźć się w armii gen. Berlinga. Nie wiedzieliśmy wówczas, że nasi najbliżsi, którzy byli w batalionie „Jastrzębia” zostali w dużym stopniu rozproszeni w lasach mosurskich i przechodzili najtragiczniejsze koleje, ścigani przez frontowe jednostki Wehrmachtu. Zasypialiś-

my z niezłomnym postanowieniem udania się następnego dnia do miejsca, skąd dochodził wieczorny, żołnierski śpiew, by odszukać naszych byłych partyzantów.

Wczesnym rankiem, jak zwykle, dorośli wyprowadzili na pastwisko konie i krowy, pozwalając młodemu dłużej pospać. Ale młodzi szybko pozrywali się i ruszyli gromadą w las, skąd wczoraj rozlegał się śpiew. Po kilometrze drogi leśnym duktem natrafiliśmy na kilka namiotów w wysokopiennym lesie, przed którymi przechadzał się wartownik z pepeszą. Nieco dalej wśród drzew widać było rzędy namiotów. Zapytaliśmy wartownika, czy są tutaj polscy partyzanci z Zasmuk i Kupiczowa. Gdy powiedzieliśmy, że jesteśmy uciekinierami, wdał się z nami w rozmowę. Nie mógł jednak odpowiedzieć konkretnie na nasze pytania. Wracaliśmy zawiedzeni, głośno dyskutując.

Następnego dnia babcia z ciotką Bronią udały się w kierunku, gdzie przypuszczalnie miał się znajdować sztab armii gen. Berlinga, by dowiedzieć się o ewentualnej obecności w niej naszych partyzantów. Wróciły wieczorem z bardzo skąpymi wiadomościami. Dowiedziały się tylko, że w armii jest kilkuset byłych partyzantów, ale z batalionów „Jastrzębia” i „Sokoła” nie ma nikogo. A żołnierze często patrolowali nasz teren, wdając się z nami w dłuższe pogawędki. Otaczaliśmy ich kołem i zasypywaliśmy pytaniami o naszą najbliższą przyszłość. Byli to głównie ludzie w średnim wieku, najczęściej żonaci, w większości deportowani w głąb Związku Radzieckiego. Wszyscy mieli za sobą lata dramatyczne i wszyscy serdecznie pragnęli szybkiego i zwycięskiego zakończenia wojny i połączenia się ze swoimi rodzinami. Niechętnie wypowiadali się na tematy polityczne.

Zupełnie inaczej zaprezentowali się inni nasi goście z armii, porucznik i sierżant, którzy odwiedzili nas 14 lipca. Długo rozmawialiśmy z nimi o przyszłej Polsce. Sierżant wyłożył nam sprawę krótko i jasno: Polska będzie dopiero od Bugu, będzie sprawiedliwa dla wszystkich jej obywateli, nie pańska, a robotniczo-chłopska, bez bezrobocia, biedy, nędzy i poniżenia. Dla dzieci i młodzieży będą wszystkie szkoły bezpłatne. Wy chłopcy i dziewczęta – zwrócił się do młodzieży i dzieci – będziecie się uczyć na lekarzy, inżynierów, nauczycieli, oficerów.

My, młodzi, byliśmy zauroczeni perspektywami, które przed nami roztoczył sierżant. Pochodził z Polski centralnej, był przed wojną robotnikiem w jakiejś fabryce. Porucznik był rodem z Wilna. Idąc na wojnę w 1939 roku zostawił tam żonę i dwuletnią córeczkę. Bardzo się cieszył, że miasto od wczoraj było wolne. Co do przyszłego kształtu Polski nie był taki pewny, jak jego towarzysz. Polska – podkreślił – musi być inna niż ta, co była, musi być sprawiedliwsza, bogatsza, ale przed nami jeszcze jest długa droga do pokonania śmiertelnego wroga – hitlerowskich Niemiec.

Na zakończenie pożegnalnej wizyty nasi goście zaśpiewali nam „Okę”. I tym nas zachwycili. Pieśń zabrzmiała cudnie, bo goście mieli piękne głosy, a sierżant fragmentami akompaniował na organkach. Zachęceni przez gości, przyłączyliśmy się nieśmiało do duetu, śpiewając coraz pewniej i głośniej. Żegnając się nasi goście poinformowali nas, że już jutro wyruszają na zachód – na front. Radzili nam jechać za nimi i to bez zwłoki, bo z całą pewnością wejdą do tych lasów bandy nacjonalistów ukraińskich, które w dalszym ciągu mordują ludność polską. Ciemnym już duktem odprowadzaliśmy miłych gości, dziękując za wizytę i życząc szczęśliwych frontowych dróg do wolnej Polski. Wracając do obozowiska poczułem i z pewnością nie tylko ja – jakiś melancholijny smutek rozstania i tęsknotę do żołnierzy w berlingowskich drelichach i rogatywkach.

Późną nocą 15 lipca obudził nas potężny hurkot motorów i chrzęst gąsienic. Zerwałem się na równe nogi i z kilkoma kolegami wybiegłem na drogę obok naszego obozowiska. W tumanach kurzu sunęły z wygaszonymi światłami czołgi Brygady Pancerniej im. Bohaterów Westerplatte. Brygada szła na zachód, bliżej frontu. Byliśmy zauroczeni widokiem pancernych maszyn, bo był to widok dla nas rzeczywiście niezwykły, który zapamiętałem na całe życie. Rozpierała nas duma, uskrzydlała nadzieja. Pomyślałem sobie, że gdyby nasi chłopcy z Zasmuk posiadali choć jedną taką maszynę, pokazaliby banderowcom, gdzie raki zimują. Po kilku dniach las opustoszał. Nie było już słyhać wieczorami pieśni żołnierskich. Zrobiło się nam nieswojo i tęskno. Jednocześnie poważnie zaniepokoił nas podejrzany cywil z pepeszą, który zza kępy krzewów obserwował nasze obozowisko. Zauważony przez dzieci szybko się oddalił. Skojarzyliśmy go jednoznacznie z ostrzeżeniem, że z odejściem wojska w lasy mogą sięgnąć banderowcy. Jeszcze tego samego dnia, po południu, drugorzędnymi drogami wyruszyliśmy na zachód. Wypoczęte konie rażno ciągnęły wozy, z górki biegły kłusem. Po kilku godzinach marszu zatrzymaliśmy się opodal rozległego koniczyniska, na którym było lądowisko dla „kukuźników”, czyli słynnych dwupłatowców. Kilkanaście maszyn stało pod rozłożystymi lipami i klonami. Jeden z krzątających się przy samolotach żołnierzy podszedł do babci, rozejrzał się znacząco i wyszeptał:

– Tylko nie jedźcie na wschód, do Rosji. Tam głód, zginiecie. Gdy dowiedział się, że jedziemy na zachód, do swoich opuszczonych wsi, dodał: – Moja żona i dzieci przymierają głodem, a ja nie mogę im pomóc, jestem bezradny.

Powrót do Zasmuk zajął nam pewnie cztery dni. Przyjechaliśmy tam wczesnym popołudniem. We wsi mimo zgliszcz było ludno i gwarno. Ludzie informowali się wzajemnie przede wszystkim o zabitych, poległych, rannych, zmarłych i miejscach ich pochówku, o aktualnej sytuacji w rodzinnych

wsiach, najbliższych planach, obawach i zagrożeniach. Żelaznym tematem, dotyczącym tysięcy rodzin polskich, były losy naszych partyzantów. Do Zasmuk dotarło już wiele wiadomości o poszczególnych oddziałach 27. WD AK, zwłaszcza „Jastrzębia” i „Sokoła”. Niemal wszystkie wieści były tragiczne, wprost apokaliptyczne. Mówiono o masie zabitych, rannych i zaginionych, wziętych do niewoli i rozstrzelanych, zmarłych z głodu i chorób. Mimo zrozumiałego w takich przypadkach wyolbrzymienia i przesady, wieści te rysowały rzeczywistą groźbę sytuacji, w jakiej znaleźli się partyzanci okrążeni przez doskonale uzbrojone, wyszkolone i zahartowane we frontowych bojach jednostki hitlerowskie. Był to temat, który najbardziej bolał i wyciskał łzy udręczonych do ostateczności ludzi.

Powracający szli gromadnie na zasmucki cmentarz, gdzie w ciągu kilku miesięcy przybyło strasznie dużo mogił. Odwiedziliśmy z babcią i siostrą grób mamy – zapadły, prawie niewidoczny. Wróciliśmy z cmentarza w milczeniu, starając się otrząsnąć z koszmarnych wspomnień. Babcia zostawszy w tyle, ocierała łzy, co jej rzadko się zdarzało. Gdy znaleźliśmy się w tłumie ludzi zgromadzonych przy kościele, nasze myśli oderwały się od koszmarnych przeżyć i wybiegły w przyszłość, która – gorąco wierzyliśmy – będzie nam przychylna. Nie traciliśmy nadziei, że ojciec ocalał z pożogi, że wrócą nasi bliscy i rozpoczniemy normalne życie.

A tymczasem do Zasmuk ścigało coraz więcej stałych mieszkańców i uciekinierów, którzy zatrzymywali się tutaj na krótki postój, często w miejscach, gdzie niedawno stały zabudowania spalone tragicznego 19 stycznia. Zastanawiano się, czy już jechać do swoich wsi, czy dla pewności odczekać jeszcze kilka dni, by lepiej poznać sytuację. Na pobliskim lotnisku w Lubitowie ryczały nieprzerwanie motory samolotów, które co kilka minut podrywały się eskadrami i leciały nad samymi wierzchołkami drzew – na zachód, to znowu wracały. Była sobota, 22 lipca 1944 roku, piękny, słoneczny dzień. Po głębszym namyśle dziadkowie, ciocia Bronia, Łodeje i jeszcze kilka rodzin zdecydowało jechać zaraz do Radowicz. Jechaliśmy tą sarną drogą, którą blisko rok temu uciekaliśmy do Zasmuk. Jakże inaczej czuliśmy się teraz, już bez paraliżującego lęku. Wówczas pchaliśmy nasze wozy resztkami sił, a w każdej chwili groził napad i kres życia. Przetrwaliśmy apokalipsę, przeszliśmy przez głód i pożogę, ocierając się stale o śmierć. Teraz jechaliśmy drogami, którymi szła zwycięska armia, a z nią Polskie Wojsko.

Pożerani ciekawością tego, co zastaniemy w Radowiczach, dojechaliśmy wreszcie do częściowo ocalałych zabudowań cioci Marysi Stefanowiczowej. Ona wróciła już przed kilkoma dniami i zabrała się za sprzęt żyta, które zdążyła zasiać tragicznej jesieni pod osłoną niemieckiego garnizonu. Ciocia Bronia i Łodeje udali się do swoich zabudowań, również ocalałych tylko częściowo, przystępując z miejsca do sprzętu żyta. Podczas gdy dziadkowie rozlokowywali się, zdjęty palącą ciekawością, popędziłem co sił przez pola do naszego obejścia. Niestety, już z dala spostrzegłem, że nie ma żadnego budynku. Pozostało tylko trochę połamanych drzew w sadzie. Przez pole, podwórze i sad biegły głębokie transzeje, co kilkadziesiąt metrów ziały strzelniczymi otworami bunkry. Nieco dalej stały rzędy ziemianek ze świeżymi śladami po wojsku. W polu, na skraju lasu i w sadzie było pełno głębokich bombowych lei, a pod starą, rozłożystą gruszą znaczyło się żółtym piaskiem kilkanaście żołnierskich mogił z wypisanymi na deszczułkach rosyjskimi imionami i nazwiskami. Przejęty niesamowitym przyfrontowym krajobrazem, usiadłem na nasypie głębokiej transzei, przechodzącej przez podwórze. Nagle pomyślałem, że może jakimś cudem ocalał Łysek. Rozejrzałem się wokół i krzychałem – Łysek! Łysek! Ale odezwało się tylko wieczorne echo. Gdy zbierałem się do odejścia, w lesie rozległa się długa seria z pepeszy, a za chwilę kilka następnych i pojedyncze karabinowe strzały. Bliska strzelanina napędziła mi porządnego stracha. Wskoczyłem do transzei i przyczałem się w załomie. Serce zaczęło mi walić młotem. Nagle doszły do mnie krzyki w języku rosyjskim, a po chwili, głośno rozmawiając, na skraj lasu wyszło kilku żołnierzy. Na trakcie zatrzymał się studebaeker. A więc to wojsko – pomyślałem – i wydrapałem się z transzei. Obok na skraju lasu czerwonoarmiści ładowali na samochód tyczki i kable telefoniczne z likwidowanej linii. Zauważywszy mnie starszyna krzyknął po rosyjsku:

- Co tutaj robisz?
- Tu był nasz dom, szukam psa – odpowiedziałem po rosyjsku, jak potrafiłem.
- A ty kto – Ukrainiec?
- Polak.
- A tu mówią, że wszystkich Polaków banderowcy wyrznęli.
- Nie wszystkich, część uciekła – odpowiedziałem.
- Rodzice żyją? – zapytał żołnierz.
- Matka umarła, a ojciec w partyzantce.
- Nie martw się – pocieszył starszyna. – Bandyty odpowiedzą za zbrodnie. Wojna się skończy, pójdziesz do szkoły i wyjdiesz na ludzi. Kim chcesz być – inżynierem, oficerem?

Nie umiałem odpowiedzieć na pytanie, bo było dla mnie zbyt abstrakcyjne jak na tamte warunki. Żołnierze rozpalili ognisko, przygotowali posiłek: chleb, konserwę i jakiś czaj. Zapachniało tuszonką. Starszyna poczęstował mnie kromką chleba i odrobiną aromatycznej konserwy.

- A gdzie mieszkasz? – zapytał żołnierz.
- Za lasem, u cioci.

– Bądźcie ostrożni – ostrzegł starszyna. – Banderowcy się kręcą. Złapią i koniec – pociągnął palcem po szyi. – Wczoraj zabili żołnierza. A ty już idź do domu, wkrótce noc.

Ruszyłem w drogę. Zapadał mrok, na dziadkowych łąkach zaczęła się ścielić mgła, jak za dobrych, dawnych czasów. Biegłem teraz tą samą drogą, przy której kiedyś, w przydrożnym rowie, znalazłem ślicznego szczeniaka – Łyska. Dziadkowie bardzo się niepokoiли moją długą nieobecnością i mieli mi za złe, że tak bezmyślnie zpuściłem się w ciągle jeszcze niebezpieczny teren.

Następnych kilka dni pracowaliśmy przy sprzęcie i młocce cepami żyta, które tragicznej jesieni zasiała ciocia Marysia. Jakoś szybko oswoiliśmy się z nową sytuacją, zrujnowanymi obejściami wokół i grobem Jadwigi Stefanowiczowej, zamordowanej w ubiegłym roku przez banderowców. Bezustannie pochłaniały nas myśli o najbliższej przyszłości. Co dzień naradzaliśmy się, co robić dalej, zasięgając opinii znajomych i często goszczącego u nas pułkownika Armii Czerwonej, który powtarzał, że nas nie wygania, ale Polski tutaj nie będzie, bo tak ustaliły trzy mocarstwa. Sąsiadka cioci, która ostrzegła ją w ubiegłym roku przed banderowcami, radziła nam opuścić Radowicze jak najszybciej, twierdząc, że nadal jest tutaj niebezpiecznie. W końcu sąsiad Łodej podjął za nas męską, ostateczną decyzję o niezwłocznym wyjeździe za Bug.

Dnia 12 sierpnia, w upalne przedpołudnie, z nadzieją na łaskawszy los opuściliśmy Radowicze – tym razem na zawsze. Opuściliśmy ziemię usianą mogiłami, jak cały Wołyń, jak całe Kresy Południowo-Wschodnie. Jechaliśmy piaszczystą i wyboistą drogą, rozjeżdżoną przez czołgi i samochody. Jak okiem sięgnąć widać było zgliszcza po ładnych kiedyś koloniach i wsiach. Wszystko to tworzyło jakiś fantasmagoryjny, niesamowity krajobraz śmierci, który zapadł w moją pamięć na całe życie.

Żegnaliśmy ze smutkiem widoczny w dali kościół w Turzysku, tak bardzo nam bliski, kojarzący się ze wszystkim co radosne, odświętne, uroczyste, niezapomniane. W odległości 2 kilometrów biel ścian kościoła jaśniała silnym blaskiem w kontraście z czerwonym dachem i intensywną zielenią wiekowych drzew.

Po przebyciu kilku kilometrów byliśmy bardzo utrudzeni. Za Turzyskiem, w pobliżu Sołowicz, zdecydowaliśmy się na krótki popas i odpoczynek na niedużej przydrożnej łączce, wolnej od złowieszczych, ostrzegawczych tabliczek „uwaga miny”. Po godzinnym odpoczynku w cieniu rozłożystych akacji ruszyliśmy w drogę. Prowadził jak zwykle Łodej, który i w tych okolicach orientował się doskonale. O zmroku – z dużym ryzykiem najechania na minę – zboczyliśmy z drogi na niedużą trawiastą łąkę, otoczoną kępami olszyn. Utrudzone podróżą i upalnym dniem dzieci, do których i ja się jeszcze zaliczałem, posnęły zaraz kamiennym snem. Starsi czuwali na zmianę, pilnując koni i krów.

Wczesnym rankiem ruszyliśmy dalej. Wąska droga wiodła teraz przez wysokopienny mosurski las, a następnie pola i wieś Mosur, gdzie między ocalałymi zabudowaniami, w wiśniowych sadach, stały liczne ponemieckie bunkry, zapewne jeszcze z okresu walk Wehrmachtu z 27. WD AK. I tutaj napisy w języku rosyjskim ostrzegały: „bunkry i teren wokół zaminowane!”.

W godzinach popołudniowych las nagle się skończył i rozpostarły się przed nami rozległe krzaczaste łąki doliny Bugu, który wydał się nam wielką rzeką, z kołyszącym się na niej pontonowym mostem. Brzeg zachodni był znacznie wyższy, dlatego konie z trudem wyciągały wozy na skarpe. I oto nagle znaleźliśmy się na rozległej, równinnej łące, zalanej promieniami słońca. Z lewej strony widniały zabudowania Dubienki – widok wprost olśniewający, radosny, jedyny po wielomiesięcznej tułaczce.

Dziadzio z Łodejem weszli na wzgórek, z którego była dobrze widoczna zabużańska panorama. Wpatrując się w nią stali chwilę w milczeniu, po czym przywołali nas wszystkich do siebie. Dołączyły do nas jeszcze jakieś rodziny, które razem z nami przekroczyły Bug. Staliśmy z zaciekawieniem, czekając aż się wszyscy zbiorą. Po chwili dziadzio uroczyście i wrzuszonym głosem powiedział:

A teraz dziękujemy Opatrzności za ocalenie życia.

Ojcie nasz... Zdrowaś Mario...

Pomódlmy się za tych, co tam – wskazał ręką za Bug – zostali na zawsze. Niech odpoczywają w pokoju.

Ludzi ogarnęło głębokie wzruszenie, bo każdy kogoś za tym lasem na zawsze zostawił... Ruszyliśmy gromadnie nad rzeczke Wełniankę, wpadającą do Bugu, rozsiadając się na jej brzegu, by odpocząć i posilić się po uciążliwej podróży. Konie i krowy puściliśmy na rozpościerającą się wokół łąkę. Przezrocyste wody Wełnianki wartko płynęły po piaszczystym dnie, srebrząc się w promieniach słońca. Dzieciarnia radośnie i hałaśliwie zażywała kąpieli. Jej beztroski nastrój udzielał się i dorosłym. Po raz pierwszy od lat odzyskiwaliśmy poczucie pełnego fizycznego bezpieczeństwa, wraz z nadzieją na łaskawy los.

Po dłuższej przerwie ruszyliśmy długim taborem po piaszczystym trakcie. Ze względu na dokuczliwy upał zatrzymaliśmy się niebawem w pierwszej większej wsi – Tuchaniach, gdzie koczowało wiele rodzin, wyczekujących na dokładniejsze i pornyślniejsze wiadomości co do dalszej podróży. Od nich i miejscowych gospodarzy dowiedzieliśmy się o wydarzeniach, w które nam – radowiczanom trudno było uwierzyć. Otóż od lutego do maja – jak nas poinformowano – tereny powiatu hrubieszowskiego, do którego należała i gmina Dubienka, były w zasięgu działań licznych band UPA. Tylko na Lubel-

szczyźnie zginęło ponad 8 tysięcy osób i ponad 100 wsi całkowicie lub częściowo znikło z powierzchni ziemi. Ludność polska ratowała się ucieczką do powiatów mniej zagrożonych banderowskim terrorem. Wielu uciekinierów z Wołynia i Małopolski Wschodniej zginęło z rąk UPA już po tej stronie Bugu i Sanu. W licznych miejscowościach organizowano, podobnie jak na Kresach, samoobrony, które we współdziałaniu z Batalionami Chłopskimi i AK bohatersko powstrzymywały nawałę UPA, wypieraną z Kresów przez Armię Czerwoną.

Podczas walk ocalała z pogromów ludność polska ewakuowała się z prawie wszystkich gmin również powiatu hrubieszowskiego. Z Teresina i Kicina, gminy Białopól uciekli w Chełmskie również nasi krewni – rodzina brata dziadzia, Aleksego Sobczyka. Po wyzwoleniu Chełmszczyzny wrócili zdrowi i cali do swoich gospodarstw. Powiadomieni przez babcię i ciocię Bronię, które przez noc do nich dotarły, krewni przybyli do Tuchań następnego dnia i pomogli nam znaleźć miejsce do osiedlenia się w opuszczonych poniemieckich gospodarstwach w Zabudnowie koło Białopola. W ten sposób również kilka innych rodzin z Radowicz znalazło się w tej kolonii. Już następnego dnia wszyscy świeżo przybyli zabrali się do sprzętu zbóż. Rozpoczął się zupełnie nowy etap w naszym życiu – okres Polski Lubelskiej, nie pozbawiony jednak wielu utrapień i dramatycznych sytuacji.